

Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Wita Marciniowska



KRONIKI GENERALNEJ GUBERNI

SWIATPOL



Wita Marciniowska



KRONIKI GENERALNEJ GUBERNI

SWIATPOL

WITA MARCINOWSKA

Kroniki Generalnej Guberni

OPOWIADANIA Z KRAJU POD OKUPACJĄ
NIEMIECKĄ

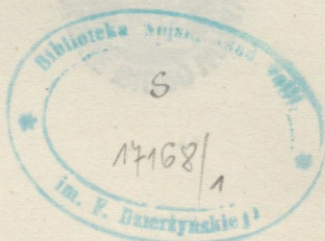


LONDYN, 1945

WYDAWNICTWO ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU
POLAKÓW Z ZAGRANICY

PRZEDRUK Z KRAJOWEGO
WYDANIA P.P.S.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
B. HOROWICZ



Printed by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2
for World League of Poles Abroad, 38, Wilton Crescent, London, S.W.1

CZĘŚĆ I

OBÓZ ŚMIERCI

*Ale Ty, Boże! który z wysokości
Strzały Twe rzucasz na Kraju obrońce,
Błagamy Ciebie, przez tę garstkę kości!
Zapał przynajmniej na śmierć naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy!
Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!*

J. Słowacki.

Od dwóch lat Oświęcim — urzędowo Auschwitz — jest nazwą, symbolizującą ponurą rzeczywistość polskiego życia pod okupacją niemiecką. Cień Oświęcimia pada na całą Polskę; najdalsze zakątki naszego kraju oddały jego kaźni swych synów i córki.

...Prócz obozu oświęcimskiego istnieje cały szereg obozów, założonych nieco później; ... w każdym niemal okręgu administracyjnym. Życie w tych obozach jest równym piekłem jak w Oświęcimiu. Tu jednak metody okrucieństwa zostały doprowadzone do najwyższego szczytu i stosowane w całej swej różnorodności.

Dość długo tajnia zupełna kryła mękę Oświęcimia. Kto wpadał w jego matnię — ten zabierał okrutne dzieje swych ostatnich kroków ziemskich bezpowrotnie. Początkowo zjawiały się jeszcze listy, obce i skąpe, bo pisane przepisowo po niemiecku i niemiecką ręką obcinane, póki prócz urzędowych słów: „*ich bin gesund*“ nie zawierały żadnej prawie treści; potem zazwyczaj przychodziły dobitniejsze znaki: ubranie, na nic już nie przydatne doniedawnemu jego właścicielowi, zawiadomienie oficjalne o dacie jego śmierci i zapytanie czy rodzina życzy sobie odebrać prochy zmarłego. Nieraz od chwili otrzymania własnoręcznie wypisanego świadectwa „*ich bin gesund*“ do chwili nadejścia zawiadomienia o śmierci upływało zaledwie kilka dni. Nieraz wielomiesięczna cisza wypełniała lukę między żłudną otuchą ukochaną własną ręką, żywą ręką, nakreślonych liter a przerażającą prawdą zawartą w małej skrzynce prochów.

W znieśnawionym „Kurierze Warszawskim“ zjawiać się zaczęły między zwykłymi osobliwe nekrologi: „Nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego odbędzie się jutro, o dniu pogrzebu nastąpi zawiadomienie po nadejściu drogich prochów“.

Nieraz cała szpalta piśmidła, które pod osłoną powagi śmierci mogło być użyte jako pośrednik wieszczący poufnie zakończenie jakichś mąk w Oświęcimiu, czerniała pod rząd dziwnymi klepsydrami. Ale tak powściągliwa wymowa zdawa się być zbyt wyraźnym zdra-

dzaniem tajemnicy oświęcimskiej: wprowadzono zakaz umieszczania zbyt przejrzystych zawiadomień. Odtąd już wyraz „prochy“ przestał ukazywać się w nekrologach. Podawały one jedynie termin śmierci dziwnie dawny w zestawieniu z bieżącą datą pisma. I tylko z niewinnych danych, że rodzina zawiadamia o śmierci kogoś najukochańszego z niepojętą opieszałością, można było odcyfrować, gdzie zmarły zakończył życie.

Zbrodnię swą chciał okupant całkowicie ukryć. Ale zaczęły jednak przenikać wieści z Oświęcimia. Z początku głuche pogłoski, potem coraz bardziej konkretne wieści, wreszcie tajemnica obozu śmierci została odsłonięta. Ukazało się już nawet kilka publikacji, zawierających fragmenty tragedii oświęcimskiej. Dodajemy dziś do nich zebrane przez nas materiały. Wciąż jeszcze szeroki ogół naszego społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy czym jest Oświęcim. I my tutaj i cały świat muszą mieć możliwie pełny obraz.

Autor skrupulatnie sprawdzał każdy podany szczegół. Unikał starannie jaskrawych barw, a nawet silniejszych wrażeń, chcąc, by same fakty mówiły. Ujawniła się w ten sposób okrutna prawda obozowego życia, prawda rozszalałego sadyzmu, obmyślonej we wszystkich szczegółach tortury, system zracjonalizowanego okrucieństwa, który w swych trybach miażdży ciało i duszę ludzką.

Bodaj najstraszniejszym obrazem, jaki wylania się z tych kart, jest osiągnięcie przez system obozowy w wielu wypadkach zniszczenia w człowieku wszelkiej więzi społecznej i sprowadzenie jego życia duchowego do przepojonego lękiem jedynego pragnienia: o dzień, o godzinę choćby przedłużyć istnienie. Te karty pozostaną najstraszniejszym bodaj oskarżeniem systemu, który stworzył Oświęcim.

Okrutna jest ta prawda, może powstanie wątpliwość, czy trzeba uświadamiać ją społeczeństwu. Sądzimy, że tak. Wiemy, że walczymy o samo istnienie naszego narodu. Musimy mieć pełną świadomość, czym jest nasz wróg a istotę jego wyraża w całej pełni Oświęcim.

Ł A P A N K I

U wylotu jednej z ulic warszawskich przystały dwa ciężkie auta, rzucając złowrogi cień wzdłuż milczących kamienic. Zatrzymujące się auto — o ile służbowe miejskie, czy firmowe polskie — zawsze budzi lęk. Bo to zazwyczaj albo Gestapo, albo żandarmeria przystępuje do codziennych czynności. Tym razem jednak widocznie omyłka: zwyczajnie coś się zepsuło w motorze. Z wielkiego pudła wozu wyskakuje jakiś bliżej nieokreślony cywil, w rękę ma niewinne narzędzia do naprawy maszyny. Kolega z sąsiedniego wozu wybiega uczynnie, by pomóc w reparacji.

Wtem obaj szoferzy zaprzestają majstrowania przy maszynie, która jest tak samo zresztą, jak i była przed chwilą, w zupełnej sprawności. Wozy błyskawicznie stają w poprzek jezdni, zupełnie nieprzepisowo tarasując wylot ulicy. Zamykają ją szczelnie, gdyż lukę między samochodami wypełniają wysypujący się z ich wnętrz umundurowani, uzbrojeni Niemcy. Ogarniają pożądlivym wzrokiem, jak myśliwi zwierzynę, biegnącą nieprzypadnie gromadę ludzi. Ludzie uciekają z łóżysk sąsiedniej ulicy, którą przecięła u jej źródeł przy placu inna, w równie podstępny sposób zbudowana tama. Znaleźli się w jednej

z pułapek, których setki zastawili Niemcy tego dnia w Warszawie : na głównych arteriach miasta i mniejszych ich rozgałęzieniach, w szerokich alejach i wąziutkich zaułkach, w śródmieściu, na Woli, Mokotowie, Żoliborzu . . . we wszystkich krańcach i w samym sercu miasta.

Tramwaje natłoczone podwójnie, wydawały się bowiem przed chwilą jeszcze bezpiecznym schronieniem, zatrzymane, otoczone. Wyglądają teraz jak mniejsze potrzaski, uwięzione w gigantycznym sidle ulicznym. Już grasują po czerwonych klatkach tramwajowych zielonawo-szarzy myśliwi : wyciągają mężczyzn i wloką pod mur pobliskiej kamienicy, gdzie stłoczono w oka mgnieniu dziesiątki, setki przerażonych, nic nie rozumiejących przechodniów. Nie wiadomo jeszcze jaki cel ma dzisiejsze polowanie na ulicach Warszawy, czy to chodzi o siłę mięśni polskich, by ją wnieść w okupacyjny wian gospodarstwom rolnym czy fabrykom *Heimatu*, czy też urządzono wymyślne zasadzki, by usidlić, przetrzebić po prostu, wciąż żywą jeszcze siłę narodową polską.

W oczach złapanych ludzi trzepocze się niepokój, bo przecież naraz zostali oderwani od swych codziennych zajęć, odsunięci od źródła radości i serdecznych trosk o najbliższych ; w oczach ludzi postawionych nagle pod murem kamienic rodzimego miasta pełna nadzieja, bo przecież chodzi tu zapewne o jakieś dorywcze roboty w koszarach czy podmiejskich fortyfikacjach, co za parę godzin, czy dzień pozwolą wrócić do domu ; w oczach ludzi zagarniętych potworną łapą najeźdźcy iskrzy się postanowienie odzyskania wolności, bo przecież musi się nadarzyć możność ucieczki !

Nie wiedzą jeszcze ci, w pierwszej partii upolowanych w sierpniowy ranek 1940 roku na ulicach Warszawy — że przeznaczeni są na łup Oświęcimia, że mają powiększyć kadry niedostatecznie licznych jeszcze „kolonistów“ obozu, że wracać z niego będą masowo, choć nie jednego dnia, jako przesyłka urzędowa zawierająca garść prochów.

Tymczasem olbrzymi łup, kilkunastotysięcznoglówce trofeum ludzkie ładują Niemcy do ciężarowych aut i odwożą w stronę Pragi. Warkotom naładowanych wozów towarzyszą bolesne i mściwe zarazem westchnienia tych, co ominęli szczęśliwie sidła : przeważnie kobiet i dzieci. A gdy odprowadzają przerażonymi oczyma wydarte przed chwilą miastu ofiary, widzą jeszcze lot maleńkich papierków, sfruwających ukośnie na jezdnię z jęczącego auta. To kartki rzucone ukradkiem rękami więźniów z nakreślonymi naprędce słowami „złapał mnie na ulicy“ i wskazówką, gdzie mają być doręczone. Tak bronią się porwani przed bezimiennym zaginięciem.

Kartki opadają na ziemię. Zbierają je z nabożną troskliwością ludzie zostawieni na wolności i odnoszą według przeznaczenia : rodzin lub przyjaciół ludzi, upolowanych dzisiaj w dzungli wielkiego miasta.

W rozległym fabrycznym gmachu na Skaryszewskiej można próbować uwolnić się z sideł. Urzęduje tam jakiś mundur, jakiś szarża, która nie wyjaśnia, za co i po co porwano w biały dzień zwykłego przechodnia jak przestępcę, ale przegląda podawane drżącymi rękoma dokumenty i wyrokuje : puścić — zatrzymać. W nielicznych wypadkach papier ma moc przywrócenia wolności ; zdarzyło się, że porwano motorniczego tramwaju, pracownika gazowni, czy szpitala. Wolni !

O zatrzymaniu natomiast rozstrzyga wiek — przeważnie młody lub dojrzały, wygląd — raczej dziarski i żywotny, wreszcie wszechpóźne widzimisię gospodarzy polowania.

Dzień jest pogodny, ciepły. Któż wychodząc podczas takiej pogody na kilka godzin do biura, fabryki, szkoły, na chwilę po paczkę papierosów, po lekarstwo do pobliskiej apteki czy do telefonu w narożnej cukierni, ubiera się ciepło, zaopatruje się w sweter, płaszcz, żywność, pieniądze.

Wieczór przynosi zwykle ochłodzenie, noc przejmuje dreszczem prawie wszystkich więzionych, nie mających na sobie częstokroć nawet marynarki i oszczędzających — wojenną modą — skarpetek. Konfrontowanie ludzi z ich przeważnie bezużytecznymi papierami trwa długo, przenosi się na dzień następny. Noc ofiarowuje w darze bezsenne czuwanie na podłodze fabrycznej; dni pierwszy i drugi — zamraczające myśl pragnienie i niecierpliwy, podhodowany już poprzednio na namiastkach głód.

Dalsze wyczekiwanie na ukończenie łowów i na doprowadzenie ofiar łapanek do oznaczonej z góry liczby odbywa się na niezupełnie gołej, bo zanieczyszczonej nawozem końskim ziemi ujeżdżalni na Łazienkowskiej. Wreszcie po niezliczonych godzinach, spędzonych bez snu, wody, żywności, ładują Niemcy uwięzionych do samochodów, odwożą na dworzec i wrzucają do szczelnie zaraz zamykanych wozów bydłych.

* * *

Łagodnym imieniem „łapanek“, brzmiącej jak nazwa beztroskiej zabawy dziecięcej, ochrzczono u nas owo bezprzykładne porywanie niewinnych — nawet w oczach samych prześladowców — ludzi z ulic, tramwajów, pociągów, kawiarni, wreszcie domów. Ale właśnie może poprzez lekkość słowa przebija twarda nieustępliwość, zuchwały hart polski, kpiący z wroga nawet w obliczu tak straszliwych nierównych zapasów.

W następnym zaraz miesiącu, zaledwie stolica ochłonęła trochę po dzikim polowaniu na ludzi, odbyła się druga, na olbrzymią skalę zakrojona „łapanka“ upamiętniona mianem „wrześniowej“, której ofiarą padły Żoliborz, Kolonia Lubeckiego i Wola, otoczone lasem karabinów maszynowych i zwartym rojem uzbrojonych naganiaczy. Już nie tylko otwarta ulica, ale własny zamknięty dom przestał być schronieniem: ludzi wywlekano z mieszkań, zabierano z miejsc pracy.

Okrutnym echem rozbrzmiewają „łapanek“ na lubelszczyźnie, w radomskim, kieleckim: rozsiewają się w przestrzeni, ogarniając cały znękany bezmiernie, wysysany z żywych sił Kraj; roztaczają się w czasie, znacząc to coraz inne kartki kalendarzowe nowością upiornych dat.

ZNAKI ŻYCIA

Tuż u granic wielkiej Warszawy, tam gdzie rozchylają się pod coraz większym kątem tory kolejowe, w pobliżu szyn leży niewielki

młotek, zgubiony na odludziu, może nie bardzo zdalny do użytku gdyż trzonek jego owinięty jest mocno szpagatem, ściągającym pęknięcie, które biegnie wzdłuż całej długości.

Po pracy w nocnej zmianie wraca do domu stary robotnik. Jest zmęczony, skróci więc sobie drogę przecinając tory.

Nie warto się nawet schylać — myśli, gdy oczom jego nasuwa się obraz leżącego bezużytecznie młotka.

Ale przymocowany na końcu sznurka kolorowy papierek przelamuje niechęć do starego grata, budzi nawet isierkę zainteresowania. Robotnik schyla się, podnosi pęknięty, zmocowany szpagatem młotek. Zawinięty w rulonik kolorowy papierek — zabawna rzecz — jest prawdziwą pięciozłotówką, która po rozprostowaniu ukazuje kilka jeszcze wsuniętych w nią banknotów. Wszystkie razem tworzą sumę 30 złotych. Robotnik przygląda się uważnie banknotom: są nieco zroszone, mocno zmięte, ale prawdziwe, niefałszowane.

Zabawny żart: Przecież niewiele brakowało, żeby wyminął obojętnie zepsuty młotek wraz z pieniędzmi, co to istotnie mogą po prostu leżeć na drodze. Dziwne to wszystko i chyba coś musi znaczyć. Robotnik obraca młotek na wszystkie strony, wreszcie, jak gdyby coś zrozumiał: trzonek nie pękł sam, został rozmyślnie rozłupany.

Odwija gorączkowo spiralę szpagatu, uwalnia drzewo z objęć żelaza. Trzonek rozchyla się gwałtownie. Z wydrażonych świeżo ścianek wysypują się maleńkie papierowe ruloniki. Stary robotnik rozwija jeden z nich i czyta:

„Błagamy znaleźć o natychmiastowe doręczenie załączonych kartek według podanych adresów. Jesteśmy złapani wczoraj na ulicach Warszawy. Obecnie wiozą nas, nie wiemy dokąd. Załączamy 30 złotych na koszty przejazdów. Młotek wyrzucamy przez otwór wagonu. Błagamy o pośpiech“.

Robotnik nie śpieszy już do domu. Siada na wale i układa pośpiesznie kartki. Tu Praga, tu Powiśle, okolica Mokotowa, Żoliborz. Robi to sprawnie niby doświadczony pocztowiec. Poczem nie zwłócząc ani chwili, zwraca w stronę miasta, siada do tramwaju i rozpoczyna swą misję osobliwego listonosza. Zjawia się w różnych mieszkaniach — wielokrotnych pokojach, podniebnych kłitkach, przyziemnych izbach, gdzie wszędzie jednaki rozgościł się niepokój, przybywa jako zwiastun — nie wiadomo — życia, czy śmierci, bo choć znak od żyjącego jeszcze przynosi, ten zdążył może do bram Oświęcimia.

Wielu z pośród powiadomionych chce pomóc zmęczonemu w dalszym roznoszeniu straszliwej nowiny. Ale stary człowiek upiera się, że musi wszystkie kartki doręczyć osobiście. Przecież to w jego ręce los złożył młotek o trzaśniętym trzonie.

Aleję Szucha — główne legowisko Gestapo — oblegają tłumy: są tam i ci, których dobiegły jeszcze na ulicy rzucone kartki, i ci, których odwiedził znalazca wydrażonego młotka, i ci wreszcie, co bez słów wyjaśnienia zdolali sami zrozumieć ponurą wymowę przedłużającej się nieobecności domownika.

Ale Gestapo nie udziela żadnych informacji. „Proszę przyjść za dwa tygodnie, za miesiąc“. Poczta oświęcimska będzie nieraz uczynniejsza, udzieli wiadomości pod postacią listu od *Schutzhaftinga* numer taki a taki.

Tym samym gorączkowym ruchem, jakim stary robotnik rozkręcał na wale kolejowym trzonek młotka z powijkaków szpagatu, opłatywały go poprzedniego dnia rozdygotane ręce stolarza, jego właściciela, a sto par oczu współtowarzyszy podróży z niepokojem i nadzieją śledziło każde okręcenie sznurka.

Łapanka ogarnęła stolarza w chwili, gdy siedł ulicami Powiśla ze skrzynią swych narzędzi pod pachą.

„*Komm, komm*“ — wyrosłego z za węgla Niemca i groźny manewr karabinem przerywa codzienną marszrutę. Silne pchnięcie kolby włacza stolarza do zaludnionego już samochodu.

Dobry majster zawsze dba o swe narzędzia. Stolarz przyciska mocno swą skrzynkę do boku. Nie rozstaje się z nią ani na Skaryszewskiej, ani w Ujeżdżalni. I teraz, gdy wraz z dwustu innymi zamknięto go w półciemnym wagonie kolejowym, sprawdza odruchowo, czy nic złego nie przytrafiło się narzędziom.

Mało komu udało się dotychczas przemycić wiadomość do rodziny. Nie wiadomo też, czy rzucone na ulicy kartki trafiły do odpowiedzialnych rąk, czy dotarły na miejsce przeznaczenia. Małeńkie szparki żaluzji wentylatorów tuż pod dachem wagonu przepuszczają nikłą smużkę światła, przesącza się przez nie zaledwie odrobina powietrza, nie sposób jednak przecisnąć tamtędy kartki papieru. I oto nie wiadomo w której z zamroczonych wypadkami głów rodzi się pomysł zużytkowania stolarzowej skrzynki. Znajduje się między innymi świder do borowania otworów w drzewie, młotek. Za chwilę, gdy pociąg rusza i nikogo na straży nie ma w wagonie, w podłodze pojawia się otwór, zwiększający się za każdym obrotem żądla boru. Już jest dostatecznie duży, by przesunęło się przezeń inne narzędzie ze skrzynki. Niby rozbitekowie na bezludnej wyspie, co powierzają wieść o swym straszliwym losie rzuconej do morza butli, porwani na ulicach milionowego miasta ludzie wysuwają przez wywiercony otwór swe żalosne S.O.S. ukryte w otworze młotka.

Pociąg sunie leniwie. Ociężały, rozwlekły rytm kół świadczy, iż lokomotywa ciężko pracuje, że wlecze conajmniej kilkadziesiąt naładowanych wagonów. W każdym znajduje się po 100—120 ludzi. Już żaden z nich nie szczeka zębami jak ubiegłej nocy. Przeciwnie wszystkim jest gorąco. Spocone ciała przylegają szczelnie do siebie. Znikąd nie można się spodziewać najmniejszego podmuchu. W bydlęcych wagonach nie ma okien, drzwi zaś są mocno zaryglowane od zewnątrz. Trudno też wciąż stać bez możliwości oparcia, w bydlęcym wagonie nie ma przecież ławek. Po chwilach podniecenia przy przejeździe na dworzec, ładowaniu do wagonów, gdy jednostajność ruchu pociągu uświadamia, iż w ciągu wielu pewnie godzin nic się w sytuacji nie zmieni — zaczyna nękać pragnienie, widok przejeżdżających stacji przypomina zastawione bufety i roznoszona przez chłopców lemoniadę.

Nieznosne pragnienie usiłuje zagłuszyć udręka głodu. Od wyjścia z domu — kiedy to było? upłynęło 48 godzin. Samego napięcia nerwów nie wystarczy już, by zapomnieć, że chce się straszliwie pić, że niewypełnione kiszki skręcają się niesamowicie.

Dokuczliwe jest niezmiernie wrażenie braku w ciele, ale jakże nieznosne w tych warunkach daje się we znaki poczucie nadmiaru.

W wagonach bydlących nie ma ubikacji dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Ludzie muszą radzić sobie — jak bydła. Po długich godzinach drogi kątek podłogi wagonu pokrywają cuchnące ekskrementy i kałuże moczu. Robi się coraz bardziej gorąco i coraz okrutniej duszno. Nie każde płuca potrafią oszczędnie zużywać mikroskopijne dawki powietrza, nie każde serce radzi sobie w ohydny zaduchu. Zanim ładunek ludzki przybędzie wreszcie na stację przeznaczenia, po kilka osób w każdej niemal cuchnącej skrzyni wagonu straci przytomność. Cucić ich niepodobna, w wagonie bydlęcym bowiem nie ma okien, drzwi zawarto rygłem zamku, widnieją zaś pod sufitem szpary wentylatorów przesączają aptekarskie dozy powietrza.

Godziny, czy dni podróży — trudno poddać mierze czas wypełniony jednostajną udręką — wloką się jak niedobry sen, który wola nie potrafi przerwać. Przebudzeniem z koszmara będzie rozwarcie ciężkich drzwi i wyjście na powietrze. Tymczasem trzeba poddać się ospałemu klekotowi kół i starać się nie myśleć, nie czuć, nie wspominać i nie przewidywać. W bezruchu upiornej ciasnoty wagonowej można tylko trwać.

Naraz pociąg staje. Przystaje nie na stacji. Zatrzymuje się w pustyni, bezludnym polu, obrzeżonym rzadkim pasem krzaków. To w końcowym trzonie wielowagonowego pociągu trzem ludziom udało się przerwać obłądny sen. Zdołali rozwalić ciężkie drzwi podczas biegu pociągu, nabrali do płuc ostrego powietrza i zamroczeni nim, jak pijani szaleńcy wazyli się rozpocząć ucieczkę. Lokomotywa dyszy coraz wolniej, ustaje buczenie kół. Ciszę sennego pola zamaca inny odgłos: trzykrotna salwa karabinowa. Trzech więźniów kończy rozpoczętą ucieczkę w pobliskich krzakach, ale już nie w pozycji biegnącej: przygwożdżone kulami eskortujących żandarmów ciała ich rozpościerają się płasko na dalekich błoniach zamiejskich. Pociąg nie rusza jednak dalej. Stoi jeszcze godzinę. Czasu tego wystarczy by żandarmi dobiegli do pobliskiej wioski, porwali z chat trzech chłopów, popędzili ich w stronę toru i wsadzili do tego samego wagonu, skąd dopiero co ruszyło po wolność trzech śmiaków. Złapani we wsi chłopcy dopełniają brak w okrągłej liczbie ofiar przeznaczonych na żer Oświęcimia.

Lokomotywa westchnęła głośno raz, drugi, trzeci. Ruszyła. Ciągnie dalej swój ciężki, wyrównany ładunek.

GIMNASTYKA

Partia przywiezionych dzisiaj do obozu ludzi dygoce z zimna — dziwnie dżdżysta, ponura jest druga połowa tegorocznego podgórskiego sierpnia. Chęć snu lub bodajby ułożenia ciała w poziomej pozycji walczy o pierwszeństwo z mdłym poczuciem głodu — po dwóch dniach podróży w nieprawdopodobnej ciasnocie bydlęcego wagonu organizmy domagają się najskromniejszego odwetu: wiązki słomy i kawałka chleba. Ale zarządzenie władzy obozowej nakazuje dla nowoprzybyłych parogodziną gimnastykę. Dozorcy wołają: „Biegiem! Biegiem!”

Bieg jednokierunkowy wokół wyżywianego dziedzińca, szybki i jednostajny. Pierwsze okrażenie rozgrzewa wprawdzie bose stopy,

ale przy drugim zaczynają one piec, trzecie nasuwa kapryśne wyobrażenie błogiej zieleni trawy lub pary butów. Pieczenie przemienia się w wyraźny ból. Ostra wyżwirowana powierzchnia praży, jak gdyby stanowiła przykrywę jakiegoś olbrzymiego, rozpalonego pieca. „Biegiem, biegiem“. Początkowo szturchanie, zadane ręką dozorczy, pobudza do następnych okrażeń, potem uderzenie tęgim kijem wymusza dalszy bieg w koło. Każde zetknięcie się (a jest ich 150 na minutę) bosych stóp z ostrym żwirem parzy, kłuje, gryzie. Oczy wypatrują bezskutecznie gładszych wysepek na kamienistym morzu dziedzińca. Zresztą nie wolno wysuwać się z szeregu. Właśnie jednemu z biegnących, który nieostrożnie wykroczył na zewnątrz koliska, dozorca podstawia nogę: przewrócony więzień leży małą chwilę, w następnej już kij oprawcy zrywa go na równe, uginające się z bólu nogi.

Tam znów któryś — chyba najstarszy wiekiem w przybyłej partii zwolnił tempo, wygląda jakby chciał przerwać na chwilę ten obłąkany bieg, oderwać bose stopy od coraz strasliwszego natarcia bezlitosnych, kamienistych bryłek. Wściekle wałnięcie kijem po plecach nadrabia stracony czas: więzień biegnie dalej. Serce wali, wprawiając w dodatkowy stukot jeszcze jakieś młoteczki w skroniach, oczach, szyi. A nogi zdają się obrastać jakimiś zbitymi poduszkami, otaczać twardymi wałkami, których każde zetknięcie się ze żwirem wywołuje tyjące ukuć rozpalonych igiełek.

Wreszcie bezlitosne kamyki zaczynają się odmieniać: oto zaróżowiły się zlekką: brunatną, wyżłobioną biegiem ścieżkę podwórza obozowego barwią już krople krwi, spływające z pędzących i popędzanych bezustanku nagich stóp.

Od tej chwili żwir i nogi upadabniają się wzajem coraz bardziej — brunatną surowość kamienia ożywia purpura krwi ludzkiej, blada różowość skóry dojrzewa powoli do czerwieni...

Bieg wciąż w jednym kierunku trwa nadal, całe już ciało rozrętnia się niezliczoną ilością pulsujących młoteczków, oddech nie darzy zwykłą bezwiedną rozkoszą, zda się być raczej bolesnym wbijaniem długiego ostrza w piersi. Ażeby przestać wbijać to ostrze, trzeba zaprzestać poruszania nogami; zresztą nie wiadomo już, czy to wświdrowujące się w stopy ukłucia sztyletują powietrzem kłatkę piersiową, czy też odwrotnie okrutny ból piersi rozpryskuje się w tysiące szpilek, przebijających stopy.

Niekiedy dla niektórych przychodzi chwila ukojenia. Z przed oczu nikną gładkie i śpiczaste główki kamieni, milknie rozrętniony dzwon serca, cichną młoteczki pulsu: biegnący zemdlął. Wówczas na szlaku setek krwawych bosych stóp zjawia się jedna para tego obuta. Dozorca zbliża się do zemdlonego i ciężkim buciorem, który sprostaby oporowi żelaza nietylko kamieni, naciska pierś leżącego bez przytomności więźnia. Jeśli ten zabieg nie skutkuje, wlecze omdlałego pod pompę i polewa strumieniem lodowatej wody.

Jest jeszcze jeden sposób haniebnie dziki, stworzony w niemieckiej szkole sadystów, zemdlonemu przywraca się przytomność przez włożenie drażka do otwartych przemocą ust i wprawienie go następnie dłonią w ruch obrotowy.

Jednorazowe czy nawet parokrotne omdlenie nie zabezpiecza przed dalszą torturą; trzeba biegać dalej krwawiącymi stopami po purpurowym miejscami żwirze.

Wreszcie zarządzono nowe ćwiczenie: obrót w kółko, dokoła osi własnego ciała. Wirują w podwójnym wirze twarze kolegów, tańczą czerwone bloki baraków, szum w głowie przybiera kolisty kształt i mdły posmak. Przy tym ćwiczeniu utrata przytomności przychodzi szybciej, częściej zostaje przywracana, więcej pracują buciska dozorców, głośniejsze skrzypią pompy, gęstsze wydobywają się jęki z przemocą otwieranych drążkiem ust ludzkich.

Na zakończenie „ćwiczeń gimnastycznych“ inne odmienne, bardzo spokojne, nie męczące głów, nie mające nic wspólnego z kołem. Proste na pionowej linii oparte. Oto szereg obleczonych w niebiesko-białe dreluchy ciał męskich przykucnął i zastygł na komendę w bezruchu. Ćwiczenie polega na wytrzymaniu w przysiadzie. Naprężone do ostateczności poprzednim biegiem nogi dygocą, poraniona skóra pod palcami nie wytrzymuje już nacisku całego ciała, kolana zaczynają drżeć. Dozorcy ryczą ze śmiechu; istotnie jakżeż to szatańsko groteskowy widok: te trzęsące się nogi z pochylonymi nad nimi pobladłymi z bólu, zdumienia i wściekłości twarzami. Walnięcie kijem po niesfornych, wibrujących febrycznie kolanach, przywołuje do porządku ćwiczących. Spokój! Wytrzymać w przysiadzie! Jeszcze kilka wolnych przysiadów i proporcjonalna ilość omdleń. Oddział udaje się na obiad, znacząc krwawo drogę po stopniach schodów baraku.

Opatrzeć nóg nie ma czym. Na sobie i przy sobie więźniowie mają tylko dreluchy. Tych podrzeć na pasy nie można. Któryś znalazł kawałek papieru, posługuje się nim jak bandażem. Ale krew szybko przemacza papier i sączy się dalej.

Przy jutrzejszych ćwiczeniach pęknięcia stóp pogłębią się, pojutrze zaczną ropnieć. Bardziej pomysłowi — szczęściarze zmagają się w następnych dniach coś w rodzaju sandałów ze znalezionych cudem złamków deseczek, skrawków tektury, kawałków sznurka. Ale rany już się nie zagoją, będą nadal ropiały; nieczyste ślady będą znały kroki więźnia aż do końca jego dni oświęcimskich, staną się tylko mniej widoczne, ropa ma bowiem odcień brunatno-szary, jak żwir rzeczny.

P S Y

Niemcy lubią popisywać się swym sentymentem dla zwierząt. Zwłaszcza psy darzą osobliwym przywiązaniem. Przy rekwizycjach na wsiach nigdy prawie nie omieszkają poklepać obcego, kudłatego Burka, lub nawet poczęstować go zagrabioną gospodarzowi słoniną; ta sama ręka, która przeszła dopiero co bagnetem nieszczęsnego handlarza, co przenosił z za Bugu woreczek żyta, czy ciwartkę kartofli, głaszcze po chwili z lubością swego ulubionego psa, pomocnika w przygranicznych obławach. Jest kilka takich psich pieścuchów i w Oświęcimiu. Jeden — śliczne, wielkie wilczysko zażywa codzien ze swym panem przechadzki na przestrzeni, zawartej pomiędzy odrutowaniami głównego obozu a zabudowaniami gospodarskimi. Właściciel pięknego psa może poszczycić się urodą. Jest młody, zgrabny, bardzo mu do twarzy w obcisłym, doskonale zaprasowanym mundurze SS-mana. Różowe, jasne oblicze zdobi zazwyczaj uśmiech, który śmiało należy nazwać przyjemnym. Zwierzę jest doskonale

wytresowane, czujne na każdy rozkaz. Chodzi posłusznie przy nodze pana, skacze wysoko, gdy pan da odpowiedni znak ręką, aportuje.

Pomiędzy drucianymi ogrodzeniami w pewnych godzinach wzrasta ruch: oddziały więźniów odmaszerowują do pracy daleko poza obóz, wracają inni, niektórzy znów pracują przy zabudowaniach gospodarskich — stajniach, oborach, królikarniach, w magazynach. Codzień też z głównej bramy o jakiejś godzinie wytacza się popychany przez więźniów wóz z trumnami; to odwożą do pobliskiego krematorium świeżo zmarłych więźniów. Po pewnym czasie wóz toczy się w odwrotnym kierunku: puste już trumny jadą po nowy towar.

Zarówno pies jak i pan śledzą uważnym wzrokiem codzienne widoki obozowe, ale podczas, gdy pierwszy zdaje się poprzestawać na zwykłej sumie wrażeń, przystojnego SS-mana o sympatycznym uśmiechu najwidoczniej nuży ich jednostajność. Ucieka się do wymyślniejszej zabawy z psem ulubieńcem.

Upatrzył cel: jakiś starszy więzień niesie wiadro z wodą, wiadro ciąży mu widocznie, gdy idzie zwykłym krokiem, nie usiłując nawet demonstrować żądanej tutaj gorączkowości pośpiechu. Wiadro z wodą waży 10 kg., więzień zaś 45. Stosunek jeden do czterech i pół. Przed dwoma miesiącami jeszcze, a było to tuż przed przybyciem do obozu, stosunek ten wynosił jeden do siedmiu. Zmieniła się oczywiście nie waga kubła z wodą, tylko człowieka. Więc właśnie te brakujące dwadzieścia pięć kilogramów żywej wagi ludzkiej nie pozwalają więźniowi na brawurowy marsz pod pilnującym wzrokiem władzy.

Miękkim choć stanowczym głosem, pan rzuca psu jakiś rozkaz. Trudno zrozumieć dokładnie niemiecką komendę: przełożoną na polski — nazywa się po prostu szczuciem. Pies biegnie szalonym pędem w kierunku więźnia, rzuca się na niego całym ciężarem swego doskonale odżywionego cielska, wpija zęby w udo człowieka i czeka dalszych rozkazów. Wiadro wypada z rąk napastowanego, ręce instynktownie unoszą się dla osłonięcia głowy, z otwartych ust wyrывa się okrzyk przerażenia. Usta przystojnego SS-mana układają się we właściwy mu sympatyczny uśmiech, poczem odwołują psa. Grzeczne wilczyko ciska ofiarę i wraca posłusznie. Ręka Niemca pieścizotliwym poklepywaniem po psim łbie daje wyraz dobrym uczuciom, jakie żywi pan dla czworonogiego przyjaciela.

W ciągu dnia porucznik kilkakrotnie sprawdza inteligencję swego psa na przechodzących w polu jego widzenia więźniach. A rany szarpane, bolesne rany zadane białymi, lśniącymi zębami doskonale utrzymanego, czystego psa nie chcą się potem goić, ślimaczą się tygodniami, miesiącami, jak każde zresztą najbłahsze nawet zadrażnienie. W Oświęcimiu rany się nie goją.

* * *

Podczas wielkiej ulewy zatkał się kanał odpływowy. Podwórce obozowe zalała woda. Trzeba ją było wyczerpać wiadrami z zatomowanego kanału i zlać do innego wolnego rowu. Do pracy tej przeznaczono około dwudziestu więźniów. Wchodzą raźnie, szybko, niemal w podskokach do wody. Rzeźkości tych ruchów nie wywołuje bynajmniej niska temperatura wody. Na górnych stopniach schodów

barakowych stoi kilku SS-manów. Ale nie ich tylko ciężkie, wyczekujące, kpiarskie spojrzenie wykrzesza z więźniów dziarskość. Jeszcze cztery inne zwierzęce źrenice śledzą ruchy pracujących. Dwa psy wilczury przykucnęły na stopniach.

Można być zanurzonym po kolana w zimnej wodzie i mieć ciało zlane potem. Dozorującym pracę SS-manom jest raczej chłodno. I nudno. Ale nic tak nie bawi, jak śledzenie na kimś rozwoju lęku. Od pierwszego dreszczyku niepokoju aż do nieprzytomnego skurczu przeżalenia. Psy znają już tę zabawę. Oto na dany znak dają susa przez schody w dół, wskakują zanurzonym w wodzie więźniom na plecy, chwytają rozwartą paszczą za kark. Na sekundę przed utopieniem mocnych swoich zębów w zwiotczałe mięśnie szyi, wychylającej się żałośnie z ponad biało-niebieskich drelichów więziennych, rozweselone bestie ludzkie dają hasło odwrotu. Psy zeskakują ze zniechęconych odrętwiałych postaci ludzkich, biegną do panów na pochwałę. Podnieconym szczekaniem proszą o powtórzenie fascynującej zabawy. Zresztą ani psy ani ludzie, zanurzeni w wodzie nie wiedzą, czy za każdym razem zostanie ona przerwana w chwili, gdy dojdzie do szczytowego punktu: czy kły przetną skórę ludzką, dojdą do mięśni, dowiecą do ciepłej krwi?

Ten moment, aby mógł zachować pełnię grozy — musi być „obstawiony“ prawdziwie. Rozkaz napaści wydany jest ostro — psy ciskają się jak furie. Ludzie w wodzie dosłownie zamierają ze strachu. Bledną, drętwieją. Wymęczone, wychudłe ciała uginają się pod ciężarem wypasionych psich cielsk. Udelektowani widokiem SS-mani odwołują psy już na wpół żartobliwym głosem. Za chwilę wszystko się powtórzy: pies w najlepszej wierze rzuci się na znieruchomiałą w wodzie ofiarę, ta zaś odtworzy wspaniałą pantomimę grozy ze skurczem i waleniem okrutnym serca, obłądnym niepokojem w oczach, zzielenieniem twarzy, zaparciem oddechu.

ARBEIT MACHT FREI — PRACA PRZYWRACA WOLNOŚĆ

Na bramie wjazdowej obozu widnieje wielki napis: „*Arbeit macht frei*“ — Praca przywraca wolność. Z każdego miejsca obozu dostrzec można wysoki komin — ni to olbrzymiej fabryki — czerwony gigantyczny słup własnego oświęcimskiego krematorium. Między tymi dwoma punktami zamyka się życie więźnia, od chwili utraty wolności do chwili jej odzyskania, od pierwszego przekroczenia bramy wjazdowej obozu do wtłoczenia się w pudle trumiennym między podwoje krematorium.

Wielkie i skomplikowane jest już gospodarstwo Oświęcimia. Wielokilometrowym pasem otaczają obóz ziemie uprawne, z których wysiedlono miejscową ludność; niezliczona ilość budynków gospodarskich, warsztatów, sąsiaduje z barakami obozowymi; daleko poza granicami obozu, o dziesiątki kilometrów odeń znajdują się kopalnie węgla. I wszędzie, na ziemi, pod ziemią, w budynkach pracują więźniowie. Uprawiają pola, budują domy, dobywają węgiel, ładują i rozładowują pociągi. Stwarzają dobra, których drobna część idzie na potrzeby obozu, resztę zaś pochłania wojsko.

Różne bywają sposoby organizacji pracy. Oświęcim wypracowa

sobie system własny, którego dewizą jest opętany pośpiech, celem zaś jak najczęstsze zastępowanie rąk roboczych nowymi siłami. Albowiem najważniejszym produktem w bogatym gospodarstwie Oświęcimia jest dym z komina krematorium. Bo Oświęcim — krótko mówiąc — to zakład likwidacji istnień ludzkich. Pracował do niedawna z szybkością pięćdziesięciu zgonów na dobę. Obecnie osiągnął wyższy stopień. Zdarzają się nawet dni, że olbrzymi komin nie może podołać zadaniu i wówczas z pomocą przychodzą mu szpadle, wykopujące mogiły dla niespalonych ciał.

* * *

Godzina czwarta rano, dnieje. Zawieszony w pobliżu bramy gong dopiero za pół godziny zadzwięczy ranną pobudką. Ale w barakach już rozpoczyna się ruch. Więźniowie sami zrywają się z posłań, przed czasem, żeby zdążyć uprzątnąć sienniki, koce, naciągnąć ubranie, dopaść do zajętych wciąż ubikacji, plusnąć się wodą z kubłów, w których zanurzają się kolejno setki rąk. Prędzej, prędzej, żeby uniknąć kary za spóźnienie, zdążyć wychłęptać z miski, jednej na trzech, swoją porcję kawy i wypaść na dziedziniec do porannego apelu.

Biegną zaraz potem do swoich komend roboczych, ustawiają się szeregiem: przydzieleni do pracy na „*holzhofe*“ przy gongu, pracujący w betoniarni pod środkowym barakiem. Tu jadący do kopalni, tam zatrudnieni na polu. Szybko rozbiegają się więźniowie na oznaczone miejsca, tak szybko, jak gdyby śpieszyli się do pożaru. A przecież zdarzało się, zwłaszcza dawniej, gdy dopiero organizowano obóz, że jakiś oddział zwoził piach do dołu, z którego inna gromada więźniów przewoziła go z powrotem na miejsce, skąd został dobyty. Byle w wyniku nie próżnował wielki komin.

Przeliczeni dokładnie przy dźwiękach dziarskiego marsza orkiestry obozowej mijają bramę. Wstające słońce odprowadza wielotysięczną armię więźniów na codzienną torturę pośpiechu, zachodzące — towarzyszyć będzie przetrzebionym zastępom, uszczuplonym przez tych co padli w pracy.

Na rozległym placu wynurzającym się z pośród niwelowanych nierówności terenu, jedna za drugą posuwają się naładowane ziemią taczki. Pchają je pod górę postacie w pasiastych, workowatych ubraniach. Coś dziwnego uderza w tym prostym widoku. Bryła ziemi toczy się lekko, szybko, jak gdyby była poruszana siłą mocnej maszyny. Ruch martwego przedmiotu jest zwinny, nie kojarzący się z pojęciem wysiłku. Natomiast żywi ludzie przy taczkach nie tylko nie odpowiadają pojęciom sprawności, ale każdą cząstką swego ciała stanowią jej przeciwstawienie. Ręce wparte spazmatycznie w drewniane ramiona taczki przypominają jakiś instrument muzyczny o luźno naciągniętych strunach; nieosłonięte warstwą tłuszczu, rozpięte nad wiotkimi mięśniami sterczą nabrzmiałe żyły. Przesadne pochylenie postaci świadczy nie o celowym zgięciu ciała dla oszczędzenia wysiłku, ale o bezmiernym znużeniu; oczy więcej niż do połowy przysłonięte powieką stać tylko na tak nikle patrzenie. Zależność między posuwistą, chyżą tacją a jej żalonym popychaczem reguluje dozorca. Raz po raz o łuk pochylonego grzbietu uderza kij. Nie zwalniać! Prędzej! Trzeba pracować dziarsko z ciężko nała-

dowaną taczka, jak na galowej rewii! Więzień mocuje się z odmawiającymi sprawności mięśniami. Byle tylko wytrzymać do miejsca, gdzie wyniosłość łagodnieje, przeradza się prawie w poziomą powierzchnię, byle przebrnąć jeszcze pięćdziesiąt kroków. Jeden, dwa, trzy, cztery... tam na równiejszej drodze będzie można wciągnąć powietrze, zwolnić nieco kurczowy chwyt rąk. Jeden, dwa, trzy... Taczka chwieje się na obydwu bokach. Omdlałe ręce, sztywne, odrętwiałe nogi nie potrafią utrzymać ciężaru w równowadze. Bo siła to najbliższa siostra zrzętności. Gdy pierwsza zamiera — rozwiewa się i druga. Dozorca nie wnika w te pokrewieństwa, szturcha wściekle winnego, poganiania zgięte coraz niżej stado taczkarzy.

Za godzinę i za dwie i za osiem nie ustanie pośpieszny ruch na równiejącym placu, na którym ma być zbudowana fabryka sztucznej gumy. I nie zwolni się tempo pracy, wytrwale podsycane kijami dozorców. Zmieni się tylko jedno — gatunek zmęczenia pracujących wciąż resztkami sił więźniów, wzrośnie do napięcia, które przekształci je w ból. Ból każdej cząstki ciała oddzielnie, w piersiach i krzyżu, spotęgowany jeszcze osobiście.

Ale pod koniec dnia z największą pewnością zahamuje się na chwilę raz albo i kilkakrotnie wyjść na wąskiej wyjeżdżonej drodze. Chwiejąca się taczka straci ostatecznie równowagę, gdyż przestaną ją podtrzymywać ręce ludzkie. Bryła ziemi z wywróconej skrzyni rozsypie się na drobniejsze grudy obok leżącego bezwładnie ciała. Nie podniosą go kije dozorczy. To człowiek, któremu praca przywróciła wolność. *Arbeit macht frei*

* * *

Dozorca melduje przy bramie: „Do podbierania kartofli idzie 150 ludzi“. SS-man przyjmujący ten meldunek przelicza skrupulatnie szeregi i krzywi się ironicznie. Jakże to dziwaczny oddział udaje się na robotę. Nawet pierwszych jego kroków, stawianych w zaraniu dnia, nie potrafi usprawnić ognisty marsz orkiestry. Więźniowie mają głowy opuszczone, spojrzenie mętne, jak gdyby nieprzytomne, ruchy niepewne. Gdy odmaszerowują z dziedzińca obozowego na szosę przy dźwiękach muzyki, wyglądają, jak cienie płasające w jakimś niesamowitym somnambulicznym tańcu.

Przeznaczono ich do cięższej pracy. Lekka praca nie wymaga lepszego odżywienia, otrzymują więc odpowiednio „lekkie“ zmniejszone normy żywnościowe. Ale nie tylko na skutek tego zaczęli zatracać ludzkie kształty; upodobniła ich do cieniów poprzednia katorga obozowa przy robotach ziemnych, wyładowywaniu wagonów z kopalni. Pomimo sutszego wówczas, ale oczywiście mniej niż dostatecznego odżywiania nic nie zdołało zahamować niesamowitego spadku wagi, po kilka kilogramów co kilka dni.

Parotygodniowe terminowanie w oddziałach ciężko pracujących przemieniło najmocniejszych chłopów w nędzne ochłapki.

Idą na kartofliko. Właściwie — używając pojęć normalnego świata — wszyscy kwalifikują się do łóżka. Ale system szatańskiej organizacji pracy w Oświęcimiu wykrzesza z tych na wpół śpiących z wycieńczenia ciał ludzkich jeszcze ostatek sił. Śmigają kije nad skulonymi postaciami. Błądzą po ziemi w ich takt obciążone skórą piszczele rąk więźniów. Chwieją się na suchych badyłach szyi bezwładne głowy, kadłuby czołgają się po ziemi, nie umiając już posługiwać się podporą chwiejnych nóg.

Dwa cienie naraz zsunęły się w bruzdę. Nie czołgają się więcej. Leżą bez ruchu. „Nie spać” — wrzeszczy dozorca i skacze po miękkim, świeżo skopanym kartoflisku od jednej postaci do drugiej. Zresztą nie robi tego zbyt energicznie : i tak wie, że niezadługo, za kilka czy kilkanaście dni, całe pole przemienić się musi w krainę cieni. Bo to oddział więźniów na wykończeniu, przeznaczony w najbliższym terminie na żar wielkiego komina.

* * *

Codzień liczba wracających z pracy więźniów jest mniejsza niż liczba wychodzących do pracy. Jeśli różnica jest za mała, nie dociąga do z góry określonych pozycji statystyki oświęcimskiej, skomplikowany mechanizm obozowy puszcza w ruch jeszcze inne, bardziej skuteczne w działaniu dźwignie.

Bieżący numer świeżo przybywających do Oświęcimia więźniów wyraża się cyfrą ponad 30.000. Przeciętne zaludnienie obozu wynosi 10.000 ludzi. Wróciło do świata może dwa tysiące. Co stało się z tą resztą, czyli dwudziestoma tysiącami istnień ludzkich ?

Odpowiedź na proste zadanie wypisana jest trzema wyrazami sentencji : *Arbeit macht frei*, i smugami dymu, co unosi się nad czerwonym kominem.

Oba znaki — i ten nieruchomy, widniejący nad bramą obozów, — i ten lotny, wbijający się pod niebo — jednaką mają wymowę.

N O C E

Słoma, nieskończoną ilość razy wymłócona ciałami więźniów na podłodze baraku obozowego, zmieniła się w nędzną sieczkę. Sienniki napelnione nakruszonymi drobnymi żdźbłami zdają się mieć tylko dwa wymiary, trudno bowiem nawet wyobrazić sobie grubość tak flakowatego pośłania. Na jeden siennik przypada co najmniej dwóch więźniów. Nierzadko wścibić się tam musi trzeci. Przykrywają ich koce, też po jednym na dwa zziębnięte, dygocące ze znużenia ciała. Ponad kocami osłonę czyni jeszcze tylko ciemność, w której rozpląnąć się winny ból, niepokój, tęsknota i lęk. Wchłonie je sen — o ile swą łaską raczy obdarzyć nieszczęsnych.

Tymczasem z ponad sienników unoszą się szept. W ciągu dnia, w torturze pracy i kar nie może wykwitnąć ludzkie ze sobą obcowanie. Dopiero teraz w nocy zawiązuje się przyjaźń, przychodzą wspomnienia i myśli bez nadziei.

Dawny sybirak opowiada o buncie więziennym za carskich czasów, jaki urządzili więźniowie za pobicie kolegi przez dozorcę, o rozprawie sądowej, obronie adwokatów, wyroku, o pracy zesłańców na otrzymanej od gminy ziemi na Sybirze. Opowiadanie nie ma powodzenia. Raz w raz któryś z bliżej leżących parsknie śmiechem, albo przerwie brutalnym ucieszeniem : „Przestałbyś głądzić”. Bo i racja — zestawienie życia więźniów carskich z upiorną rzeczywistością Oświęcimia jest zbyt irytujące. Jakies bunty więźniów, kończące się ich wygraną, sielankowe prace na własnej nieomal choć syberyjskiej ziemi, procesy z bronią, przesłuchiwanie świadków, szukanie dowodów winy — po prostu opowiadka dla grzecznych dzieci.

I „sztubowy“ groźny dozorca współkolegów warczy groźnie ze swego wygodnego, rozłożonego na stole posłania, nakazując ciszę. Nieraz pozwala na odchylenie regulaminu, sam posłuchać lubi, ale prawdziwie ciekawego opowiadania. Aby zasłoniło całkowicie widmo obozowe i jego upodloną duszę, zaprzedaną za lepszą strawę i wygodniejsze posłanie. Za dnia pastwił się nad zdanymi na jego łaskę kolegami, teraz pragnie wraz z nimi zapomnienia.

Urażony sybirak milknie.

I znów faluje szept, tym razem coraz przychylniej wchłaniany. „Sztubowy“ uniósł głowę, wsłuchuje się tak spokojnie, że szept stopniowo tężeje do półgłosu. Płynie okręt po bezkresnym morzu do niedalekiego nieznanego kraju. Rozłożyste korony drzew, o dziwacznych palczastych liściach, szumią wysoko ponad głowami leżących. Patrzą na nich gwiazdy, ułożone na obcym niebie w niespotykane nowe wzory. Tysiące groźnych, zabawnych, rozmyślnie wytworzonych i nieprzewidzianych sytuacji spleta się w czyjś ciekawy beźmiernie, przed latami przeżyty los. To argentyńskie dzieje wieloletniego emigranta podróżnika, który już niedługo zapewne gościć będzie na barłogu w baraku oświęcimskim. Tej nocy może pod wpływem silniejszej gorączki, szczególnie pięknie wskrzesza swą przeszłość i roztacza jej obraz przed towarzyszami.

Cisza, nasycona majakami piękna, wolności, ziszczeń, zasłuchana w odległe echa, obsiada posłania więzienne. Naraz wciska się w nią jęk. Dobiega z trzeciego od okna siennika, gdzie leży młody chłopiec, który odbył dzisiaj karę publicznej chłosty. Dostał dwadzieścia pięć uderzeń masywnym bykowcem. Miarowo, wolno, dokładnie odmierzane razy posiekały skórę, przecięły w wielu miejscach mięśnie, do ran powcisnęły pasemka postrzępionego ubrania. Te zatamponowane tkaniną obrażenia dokuczają najbardziej, gdyż zaczynają się jężyć. Chłopak ma gorączkę, rzuca się na wąskim legowisku, przekracza wciąż bliźniętce granice swego posłania, trącając raz wraz towarzysza z lewej i towarzysza z prawej strony.

„Śpij byku“ — upomina go jeden.

„Wyspał się już przy apelu — to ma dość“ — drwi drugi. Karę dostał za niestawienie się do południowego apelu. A stało się to w ten sposób: gdy wrócił z pracy — wyładowywał 75 kilogramowe worki cementu z wagonu, był aż zielony na twarzy, koledzy myśleli nawet że kipnie na miejscu, ale dowlókł się jakoś w szeregu prawie że do samego obozu. Skusiła go i przygarnęła jakaś dobrotliwa deska koło szopy, wczłogał się na nią i zasnął.

Przejęczy do brzasku, zwlecze się z pewnością do porannego apelu i odkomenderowany do swego oddziału powędruje znów na stację do wyładunku wagonów. Oh! Gdyby mógł nie obudzić się więcej! Ale tymczasem nie potrafi wogóle zasnąć — z bólu i lęku przed ponowną karą.

Z siennika rozpostartego najbliższej szafek dobiega wciąż jednostajne szuranie. To więzień „X“ przewany „inżynierem“ przesuwają ostrożnie, wolniutko ręce raz w dół, raz do góry. Usiłuje w ten sposób wypędzić drętwołę z barków, wykręconych, obumarłych podczas ostatniej godziny „słupka“, jaki wczoraj odbywał. Inżyniera złapano na przestępstwie palenia papierosa podczas pracy. Musiał za to odpokutować dwugodzinnym, rozłożonym na dwie raty „słupkiem“. Już od poprzedniej niedzieli, to jest od pierwszego zwiśnięcia na wbitym w

ślup haku, „inżynier“ nie mógł spać. Dokucza mu nie tylko ból w stawach i poczucie odrętwienia w całym ciele. Dusi go wściekłość upodlenia, bezsily i nade wszystko bezsens cierpienia jego własnego i wszystkich tutaj wokół. Więzień oddycha cicho, szura zmęczonymi rękoma po sienniku, płosząc skąpy sen baraków oświecimskich.

„Przewróćmy się na drugi bok“ — trąca sąsiada współkamrat z siennika, gdy zeszytnieje już w jednej pozycji. Samodzielnie nie może tego dokonać. Za mało jest miejsca na wąskich postaniach, upchanych szczelnie przylegającymi do siebie ciałami, by każdy mógł się przewracać dowoli z boku na bok.

Nie trudno nauczyć się wszystkich głosów nocy barakowych. Miarowe postękiwanie towarzyszy dojrzwaniu wrzodów, którymi obsiane są ciała wielu więźniów. Szmer, przypominający skrobienie myszy, dobywa się z pod każdego niemal koca: to drapanie paznokciami swędzących miejsc na skórze, gdzie rozpanoszył się mikroskopijny a potężny świerz, odbywający zwycięski pochód po ciałach więźniów we wszystkich salach i blokach.

Niecierpliwe sygnale sygnalizują ukąszenie pcheł, wszy, mnożących się mrowiami pomimo systematycznego, zarządzonego oficjalnie w ciągu dnia „wszobicia“.

Raz wraz wprzęgają się w całość trzy różne odgłosy: czołgania jakiegoś ciała po przez labirynt zsuniętych legowisk, złorzeczeń padających z ust potrąconych, przygniatających kolegów i człapania potem bosych nóg po wolnej przestrzeni sali w kierunku drzwi. To cierpiący na biegunkę, panującą nagminnie w obozie i chorzy na pęcherz odbywają nie kończącą się do rana wędrówkę do ubikacji, i z powrotem na barłóg.

Sen wypędzany wciąż z progów baraku, zniecierpliwiony do reszty, odchodzi ostatecznie. Zostaje licha jego następczyni drzemota, spływająca na umęczonych ludzki na krótkie bezpłodne chwile. Nie przynosi ani zapomnienia, ani odpoczynku.

Noce oświecimskie nie rozporządzają łaską ukojenia.

PODZIEMIA I STRYCHY

W narożniku prostokąta, w którym rozmieszczone są zabudowania obozu rozparł się barak oddziału karnego. Nie różni się on zbytnio od reszty stojących szeregiem bloków. Jest w tak samo „koszarowym“ stylu, jak i dawne baraki, pamiętające jeszcze austriackie czasy, gdy gościły cesarsko-królewskie pułki artylerii, czy też nowe, wznoszone obecnie rękami więźniów dla wciąż przybywających ze świata współtowarzyszy. Tak samo nuży czerwonym murem cegieł, przetacza niewymyślną pudełkowatością kształtów.

Właściwie barak oddziału karnego jest podwójny, składa się z połączonych ze sobą murem bliźniaków. I to jest pierwsze odchylenie od szablonu budowli obozowych. Drugie polega na szeregu maleńkich okienek, wyzierających w dole u jego stóp. Okienka spoglądają na świat mętnie, ponuro i tajemniczo — nic w tym dziwnego, są to bowiem żrenice ciemnic podziemnych bunkrów, skąd zazwyczaj nikt nie wraca. Dzisiaj w bliźniaczym baraku panuje niezwykły ruch. Przeprowadzka. Cały oddział karny, czyli około trzystu ludzi, przenosi się na górę, do sąsiedniego nowowytbudowanego bloku. Do

opróżnionego natomiast budynku przewożą ze szpitala ciężko chorych.

„Zapewne rozszerzają szpital — snują się domysły — czas najwyższy, bo w nim ciasnota niesłychana“.

Z nadejściem nocy krzątania przy baraku karnym nie ustaje. Chrzęści żwir pod stopami ludzkimi i odgłos kroków przetacza się po wiodących w dół schodach, ginie w podziemiach. To przybywa nowy oddział więźniów. Pół tysiąca bolszewików. Kogo nie wchłania Oświęcim prócz rdzenia polskiego? Są w nim Czesi, Niemcy, Żydzi, Serbowie. Teraz jeszcze Rosjanie. Ale dlaczego umieszczono ich razem z ciężko chorymi? Przecież nie są też chorzy, skoro przyszliznęli o własnych siłach.

Więźniowie z pobliskich baraków nie usiłują nawet zasnąć. Nasłuchują co się dzieje w opróżnionym na gwałt i napelnionym ponownie narodziłym baraku.

Krótką pauza oddziela chrzęszczącą gamę kroków po żwirze od następującego po niej nieludzkiego akordu krzyku, przedzierającego się jak gdyby przez przymknięte szpary przyziemnych okienek. W akordzie dominuje nuta przerażenia, ale doświadczone w słuchaniu uszy więźniów rozróżniają dobrze tony bólu, wołania o pomoc, wrzaskie rozpacznej rezygnacji. Krótka melodia powtarza się kilkakrotnie. Gama kroków i akord krzyku. Potem zapada cisza. Prawdziwa grobowa cisza, pełzająca złowieszczo wokół podwójnego baraku. Za dnia oniemiały blok wygląda jak cmentarna płyta nad olbrzymią mogiłą.

Trzy dni nic nie narusza ciszy, warującej przy baraku oddziału karnego. Czwarta noc uchylać zaczyna tajemniczą zasłonę ze ślepych okienek. Żwir jęczy pod naciskiem kół. Przed barak zajeżdżają ciężarowe wozy. Przeprowadzka. Tym razem nie ludzi, tylko rzeczy. Ubrania te, co okrywały do niedawna ciężko chorych przewiezionych do szpitala więźniów polskich i te zdarte z bolszewickich jeńców. Obozowe dreluchy i wojskowe mundury wędrują pospołu do bloków, w których mieszczą się magazyny. Po pewnym czasie zmienia się szybko zawartość wozów i ich kierunek. Teraz nagie ciała ludzkie piętrzą się wysoko między deskami platformy, koła zaś zbaczają za bramę w przeciwny magazynowy kraniec: toczą się w stronę krematorium.

Wystarczy pięciu minut, aby przejść z dziedzińca obozowego do zielonego darninowego nasypu krematorium. Żywi ludzie, więźniowie, choć pchający ciężko naładowane trupami wozy, nie zużywają wiele więcej czasu: śpieszno im pozbyć się upiornego ciężaru. Ale nie zaprzestaną pracy, bliźniaczy barak wciąż dostarcza ładunku, ciężkie wozy, zaprzężone w żywych ludzi przemierzają drogę od narożnika baraku w obozie do drzwi krematorium w ciągu kilku nocy. Za dnia głuche milczenie znów otula podwójny blok oniemiałego budynku. Nocami obroty kół występują tajemnicę podziemi.

W poprzek i wzdłuż wozu, bezładnie powrzućcane nagie ciała odbywają ostatnią swą wędrówkę. Osłania je tylko nikła poświata księżycowa. I ona to zapewne pogłębia martwą rysów twarzy i stęży siność nagich ciał. Żywi ludzie z zaprzęgu nie przynaglani przez nikogo, sami przyśpieszają bieg. Niezręcznie pchnięty, obciążony nierównomiernie wóz przechyla się i wywraca. Na jedno мгновение trupy zdają się wracać do życia, przeskakują przez siebie, toczą

się drogą, wywijają gołymi rękami, przewracają się na boki i znów zastygają w bezruchu z twarzami zwróconymi do nieba lub do ziemi. Księżyc z dalekiego zachodniego krańca nieba nikle przyświeca grabarzom przy ich robocie ponownego ładowania wozu. Blask jego zmieszany z przesączającym się światłem porannej zorzy niknie potrośze ; ale nie rozprasza się dziwaczna zieloność zgarnianych z ziemi martwych ciał, coraz wyraźniejszych teraz na przyprożu budzącego się dnia. Jeden z kolegów grabarzy, przywarty do trupa, którego ujął w pół, by podrzucić na piętrzący się znów na wozie stos, wpatruje się długo w szaro-zielone oblicze. Widział już kiedyś przed laty, podobne. Opuuszczony okop. W okopie trupy żołnierskie. O takich samych widmowych sinych ciałach. To piętno gazów trujących.

Z ciemnicy bunkrów, skąd nikt żywy nie wychodzi i nic opowiedzieć nie może wraz z pierwszym brzaskiem dnia przesącza się tajemnica ośmiuset pozbywionych życia ludzi. W krótką melodię, zaczynającą się od gamy kroków wplatają się słowa : zatruli gazami.

* * *

Oddział więźniów, przydzielony do pielienia buraków, obsiadł pole. Palce przemykają się między małąkami, ledwie ulistnionymi roślinami, wyskubują rozwielmożniające się chwasty. Jednostajność — przeraźliwa w nieprzerwanym trwaniu ograniczonych, skąpych, nudnych ruchów — urozmaica obraz toru kolejowego, rozpiętego łagodnym łukiem na bliskim horyzoncie. Od czasu do czasu przemyka po nim pociąg, wędrujący ze świata i w świat. Wówczas oczy więźniów odrywają się na chwilę od ziemi, przestają rozróżniać czerwieniejące listki buraków od zielonych kępek chwastów. Zagrożenie karą, lub doraźne jej wymierzenie dobrze znanym szturchaniem dozorczy odrywa wzrok pracujących więźniów od majaka wolności i przykuwa z powrotem do ziemi.

Wagony otwarte, zamknięte, wiozące ludzi, drzewo, maszyny, węgiel są jak gdyby znakami dawnego przedobozowego życia. Może przyszłego poobozowego. Zły los zrzadza, że tego dnia między innymi przesuwa się po torze pociąg z rannymi żołnierzami. Widok zabandażowanych głów, rąk, nóg niemieckich żołnierzy sprawia, że przez ludzi skubiących zielsko przepływa jakiś osobliwy, gorączkowy prąd. Zrywają się z ziemi, prostują zgięte kadłuby, potrząsają zaciśniętymi w pięść dłońmi i krzyczą na cały głos z rozpierającej ich otuchy !

Wściekły i przerażony dozorca nie może zdać sobie sprawy, co się stało. Rzuca się na najbliższych, a właściwie tańczących dziko więźniów, woła swego pomocnika. We dwóch „gaszą“ bunt, zatłukając po prostu na śmierć pięciu ludzi. Po czym zarządzają przerwanie pracy i marsz do obozu. Cała reszta oddziału, kilkudziesięciu na pół przytomnych, jak gdyby pijanych ludzi wędruje do narożnego bliźniaczego bloku karnego. Podziemne bunkry wchłaniają ich wszystkich bezpowrotnie wraz z ich ostatnią dziwacznością radością.

* * *

W podwójnym baraku oddziału karnego prócz schodów prowadzących w dół do podziemi są też schody wiodące na strych. Tam bliżej ziemi, tutaj bliżej nieba.

Na strychu przyswieceją również okienka, niewidoczne zresztą zewnątrz, gdyż przebite w samym pułapie. W półmroku przesączaającego się światła widać zarysy słupów, podtrzymujących więzania dachu. Na słupach wiszą ludzie. Żywi zresztą, gdyż poruszają się nawet dość gwałtownie. Do każdego słupa wbito hak. Każdemu z powieszonych więźniów skrupowano w przegubie ręce łańcuchem. Łańcuch zawieszono na haku. Stopy wiszących nie dotykają podłogi, znajdują się o kilka zaledwie centymetrów nad jej powierzchnią. Ręce, założone na plecach powyżej krzyża, wykręcają szpetnie do przodu stawy barkowe. Rząd słupów ciągnie się poprzez całą długość wielkiego, pokrywającego podwójny blok strychu. Żadnej belki nie pominięto. Przy każdej skrzypi obciążony ciałem ludzkim łańcuch.

Jest to tak zwany „słupek“ — jedna z pospolitszych kar, stosowanych na strychu baracznym, w miejscu bliższym nieba.

Jedyny punkt oparcia zawieszonych ciał stanowią przeguby złączonych rąk. W tym właśnie punkcie ogniskuje się w pierwszej chwili straszliwy ból. Jak gdyby w skórze tworzyły się szczeliny, jak gdyby kości rozszczepiały się na dwoje. Żeby nogi dosięgnąć mogły podłogi — a wydaje się, że trzeba je tylko trochę, ledwo, ledwo naprężyć, by poczuć twardość pod stopami — ciężar ciała spocząłby na właściwej podstawie. Ustałby ból, ustałby niepokój całego ciała, ustałaby męka. Wiedzą o tym dobrze ci, co stosują torturę. Zawieszeni odruchowo szukają oparcia dla stóp, wyprężają nogi w kierunku ziemi, powiększając każdym ruchem ból w przegubach. Rozprzestrzenia się on zresztą niebawem na stawy barkowe, kręgi szyi, biodra.

Każdą odbywa się niedzielnymi rankami, by nie marnować dnia roboczego i trwa po godzinie. Kto dostanie dwie godziny „słupka“, ten wisi co tydzień po godzinie, trzy godziny — rozkłada się na trzy niedziele. Jaką zasadą kierują się oprawcy oświecimy przy rozkładaniu tortury na tygodniowe raty? Tą samą zapewne, która im nakazuje więźnia skazanego na śmierć raczyć nieraz w ciągu roku wszystkimi udrami obozu, zanim wyrok zostanie wypełniony.

Po kilku minutach wiszenia całe ciało ogarnia zdrętwienie nie zmniejszające bynajmniej męki, tylko ją przeobrażające. Dřętwota przesuwą się od stóp do głowy, nie wchłaniając najboleśniejszych ośrodków: zaciśniętych kleszczami łańcucha przegubów, wykręconych barków, wygiętej szyi. Odrętwienie staje się bólem, tylko innym. Mięśnie, stawy, by wyzwolić się z niego, próbują coraz innego położenia. Jakże im dogodzi człowiek przytwierdzony do słupa. Szarpie się na męczeńskim pału, krzyczy boleśnie i liczy najdłuższe minuty najdłuższej godziny swego życia. I gdy wreszcie mija jeden z największych wycinków wieczności — godzina „słupka“ — jęczący z bólu więzień nie ma kąta, gdzie mógłby odleżeć, wypocząć po torturze. „Słupki“ odrabia się w porannych godzinach, regulamin zaś surowo zabrania rozkładania pościeli w ciągu dnia. Do wieczora więc będzie obnosił ból sponiewieranego ciała między ścianami sali baraku, albo po twardym żwirze dziedzińca. Nocą legnie na wiotkim sieniaku, przez który podłoga odcisnie stygmaty na wszystkich zboliałych jego członkach. Raniutko powlecze się do roboty.

Za jakie przewiny straszliwe skazuje się ludzi na tak okrutną karę?

Oto pierwszy z wiszących ośmielił się zapalić papierosa w godzinach pracy, drugi usiłował schować się przed pracą podczas ulewno

deszczu, trzeci ukradł bochenek chleba z magazynu, czwarty odezwał się niepytany podczas apelu...

Długi rząd słupów podiera wiązania dachu na strychu baracznym.

W niedzielne poranki słupy się zdwiają, równoległe do warstw drzewa przylegają do nich białe i niebieskie paski chałatów więziennych.

Golgota oświęcimska odbywa się w niedzielę.

UCIECZKA

Przeraźliwie wyje syrena. Alarm w obozie! Przenikliwy złowrogi głos rozplywa się potężną falą wokół w dziesięciukilometrowym promieniu, przyprawiając o skurcz tysiące serc więźniów.

Głos syreny dzwici jak zew śmierci dla każdego z dziesięciu tysięcy więźniów, chociaż naprawdę przywołuje za każdym razem zaledwie dziesięciu. Nie wiadomo tylko, na kogo padnie los. Syrena huczy, obwieszcza: ucieczka. Ktoś uciekł z obozu. A za ucieczkę jednego wyznaczona jest stała cena: życie dziesięciu kolegów.

Syrena zwołuje wszystkich na zbiórkę. Zbierają się na dziedzińcu. Stają w szeregach. Czekają znieruchomieli. Tylko oczy ślizgają się niespokojnie, jak daleko wzrok sięgnie po zamarych postaciach: ty jesteś i ty jesteś i ciebie widzę — kogo więc brak? Może to nie w moim oddziale, może w sąsiednim, albo jeszcze dalszym ktoś uniósł wraz ze swą wolnością prawo do nadziei dziesięciu innych? Błądzące, szukające oczy natrafiają na wyrwę. W czwartym szeregu brak suchej figurynki, która co dnia stała w samiotkim jego środku. Ale może poszedł do szpitala, może po prostu umarł przy pracy, może przeniesiono go do innego bloku? Nic nie wiadomo. Dziesięciu tysiącom ludzi śmierć narazie jednakowo zagłada w niespokojne oczy i kurczy pomartwiałe serca.

Kolumna ludzka stoi bez ruchu godzinę, drugą, trzecią. Mija pora obiadowego posiłku, wieczornej zbiórki, snu. Dokoła wszystko jest poruszone, z zachodu suną szybko ciemne chmury, roniąc ukosem drobniutkie zimne krople, wiatr szarpie poły cienkich, utkanych z włókna drzewnego płaszczy więziennych, przekrzywia na głowach okrągłe mycki. Tylko zastygłe szeregi ludzkie sztywnieją w bezruchu. Zdrętwiały nogi, bolą plecy, dłonie zaczynają tracić czucie. Zimno i niepokój ubiegają naprzemian o zwycięstwo nad stojącą gromadą. Naraz w bocznych szeregach ludzie zaczynają trzepotać rękami, podrygiwać nogami, potrząsać głowami. Przebiega przez nich jak gdyby jakaś gwałtowna drgawka. I ustaje nagle, jak nagle przyszła. To dozorca odwrócił na chwilę bacny wzrok. Ukradzionej szczęśliwie chwili odprężenia mięśni i odrobiny ciepła starczy na kilka sekund i znów trwa dalsze, nieznosne, wielogodzinne czatowanie na odwrócenie cerberskiej uwagi i wyrok losu. Ciało zaczyna sztywnieć, jakiś mrok zasnuwa mózg. Łomot. Ktoś upadł. Jeden już się z szeregu wycofał, już nie jest ciekawy czy będzie należał do ekipy dziesięciu. Zostanie po prostu jedenastym. Kolumna stoi sztywno. Nie wolno podnieść kolegi. Po chwili, niby spóźnione echo łomocę drugie zeszytniałe ciało. Gdyby je podnieść, przenieść do budynku, ułożyć na postaniu, rozetrzeć — upadek nazywałby się zwykłym zasłab-

nięciem, omdleniem. Dwadzieścia cztery godziny wyczekuje kolumna na zimnie, wietrze, deszczu, by zapłacić dziesięcioma istnieniami ludzkimi za ucieczkę kolegi. Leżące na ziemi, stygnące ciała nie wchodzi do rachunku, stanowią nadprogramowy dodatek. Dopełnia się ostatnia godzina doby, podczas której ludzie bez snu i pożywienia, bez możliwości ruchu, czekali na śmierć. Zjawia się wreszcie jej wysłannik — komendant obozu. Bez słów wchodzi między więźniów z bloku, w którym zabrakło jednego żywego numeru. Wybierze dziesięć ofiar, a wybierać będzie najsłabszych, najbardziej zdartych, nieprzydatnych w gospodarstwie obozowym. Wiadomo, że nawet w Oświęcimiu siła jeszcze coś znaczy. Niemoc natomiast sprzęgnie ze śmiercią. Wzrok komendanta przesuwają się wolno po więźniach: kogo dotknie, ten pręży się, prostuje, wypina klatkę piersiową, podnosi głowę do góry i spogląda z szaleńczą odwagą przed siebie. Tylko siła może zwyciężyć. Szereg starganych, znękanych ciał usiłuje na tę jedną chwilę przywrócić sobie dawną tężyznę i dziarskość.

„Komm“ — pada pierwszy wyrok śmierci. Więzień napina w ostatnim desperackim wysiłku ochłapy mięśni, pręży osłoniętą wiotką skórą piszczyle, nabiera do ust zdwojony łyk powietrza. Komendant nie spuszcza oczu z ofiary. „Komm“ — mówi powtórnie. I naraz ciało nieszczonego więźnia wiotczeje, maleje. Zrozumiał, uległ. Długo jeszcze wzrok wysłannika śmierci błądzi po szeregach. Każdemu jego zatrzymaniu się towarzyszy dookólne westchnienie ulgi: „a więc nie ja“ i jeden rozpaczny jęk: „stało się“.

Dziesięciu wybrańców opuszcza szeregi. Podążają do podziemi karnego bloku. Wprawdzie „prawo“ obozu głosi, że — o ile w ciągu trzech dni zbieg się znajdzie — zakładnicy zostaną wypuszczeni z bunkrów, ale doświadczenie poucza niezmiennie, że nic podobnego się nigdy nie stanie. Zbieg, jeśli nawet wróci, nie uratuje ani siebie, ani swych towarzyszy. Oświęcim nie uznaje uroczystości powrotu do życia.



Przy rozbiórce domu w pobliżu szosy pracuje gromada dwudziestu więźniów. Dziewięciu kruszy łomami frontową ścianę, sześciu zwozi gruz, pięciu układa na stos drewniane framugi drzwi i okien. Dozorca zadowolony jest z ekipy: dobrali się sami „nowi“, nie wynaleźli jeszcze sposobów jak zrzęcznie markować robotę, by oszczędzać siły. Tylko jeden z ostatniej piątki nie zachowuje się jak należy. Coraz to z innego końca wynurza się, w coraz to inne miejsce układa, rozłaczane z prostokątów framug, deski. Dozorca ma na niego oko, ale robi to tak sprytnie, że więzień ośmiela się coraz bardziej. Wreszcie w pewnej chwili, po złożeniu ciężaru, nie ukazuje się przy kolejnym otworze okiennym. Zniknął. Dozorca widzi wtuloną w gruzowisko postać, śledzi przeczołgiwanie się jej między kupami połupanej cegły. Wyczekuje chwilę, po czym wszczyna przeraźliwy rumor, nie tracąc przy tym niebiesko-białej plamy z pola widzenia. „Uciekł! Szukać!“

Dozorca zabawi się znakomicie.

Z jaką wściekłością, zaprawioną lękiem o własną skórę, koledzy będą szukali tego, co swym zniknięciem nastawa na ich życie. Mały oddziałek zamiera w grozie, po czym rozsypuje się na wszystkie

strony, przeszukując kupę gruzów, stosy desek i wzgórkii nasypów. Dozorca w roli naganiacza, kieruje zrećnie pocięciem w stronę ukrytego. Już wyciągają go rozwścieczone koleżeńskie dłonie z pod wielkiego rumowiska, już wali w pierś łom zaciśnięty w ręce współtowarzysza pracy i niewclic. „Nie bijcie, znaleźliście przecie! Już nie ucieknę!“ Ale podsypane doniedawnym łękiem razy spadają na głowę, piersi, brzuch nie mogącego powstać chłopca. Dozorca przygląda się z uciechą widowisku, chociaż zaczyna rozumieć, że skończy się ono niezadługo na miejscu, nie będzie miało dalszego ciągu, tak urozmaiconego zazwyczaj po powrocie z winowajcą lub bez niego do obozu. „Spokój“ — próbuje nawet interweniować, czyni to jednak z tak niezrozumiałą dobroduszością, że dolewa oliwy do ognia. Zresztą jest już za późno: drugi cios łomem, zadany tym razem w głowę, ucisza raz na zawsze winnego.

Padł z rąk towarzyszy, którzy nie hołdują wolności, okupionej życiem współkolegów.



Z za dziesiątej góry, z za dziesiątej rzeki a wrócił przecie. Już nauczył się był oddychać bez trwogi, już zaczynał czuć kielkujące w nim na nowo pragnienie dobra, prawdy, sprawiedliwości. Znaleźli go w domu przyjaciół po dwóch miesiącach od chwili cudownego wygrania wolności.

I oto złapany wraca do obozu. Triumfalnie. Uroczyście. Ubrany odświętnie. Na głowie ma czapeczkę dżokejską, na piersiach transparent z napisem: „Hurra! Znow jestem pośród was“. Cały obóz przygląda się w podnieceniu defiladzie, zbiega po uliczkach między szpalerami bloków. Rozlegają się nawet ożywione okrzyki radości. To cieszą się koledzy, że przecie to nie oni będą zbierali owoce dwumiesięcznej nieobecności. Cyrk, istny cyrk zorganizowany przez władze obozowe. Kredowa twarz pod śmieszną dżokejką przypomina znakomicie wymazaną na biało zazwyczaj maskę błazna. Bębny wybijają powitalny werbel, który niebawem przemieni się w pożegnanie. Procesja okrąży wszystkie baraki i zdąży do łypiącego chciwymi okienkami bloku karnego, który otworzy swe podziemia zbiegowi.

Uczestnicy zabawy rozchodzą się. Staną zaraz do apelu wieczornego, który stwierdzi, że nikogo tym razem nie brak w stojących gęsto szeregach.

Daleki odgłos salwy karabinu wstrząśnie ciszą przedwieczorną, ogłaszając wyjście za ostatnie kulisy jedyne go aktora dzisiejszego widowiska.

NIECIERPLIWI

Nie jednakże są ostatnie krople, przepełniające czarę...

Można w ciągu wielu miesięcy cierpieć mdły głód, rozluźniający wszystkie mięśnie, wściekle ukąszenia zimna, odgryzającego po kawałku palce rąk i nóg, można znosić co dnia razy, spadające na chwiejący się w torturze pracy grzbiet, można zapomnieć, gdzie się

ma jeszcze zdrowy ośrodek ciała, można sływać krwią i ropą z nie-
gojącej się nigdy rany, można wyciągać chleb z ręki konającego to-
warzysza i nie doznawać wstrząsu sumienia, można skamleć bezsku-
tecznie po wyjściu ze szpitala o brzeżek barłogu na zajęтым przez
innego posłaniu, można dusić się ustawicznie z lęku, upodlenia i
bezsiały. Można zatracić wszystkie przywileje człowieczeństwa — i
pragnąć jeszcze żyć.

Ale zdarza się, że jakieś źle zrozumiane słówko w niemieckim prze-
pisowo liście z domu spłynie gorzką kroplą do umęczonej duszy i
zgasi tlejącą w niej wolę przetrwania; zdarza się, że ostatni węzeł
cierpliwości rozluźni się, że nie podobna przeboleć zguby jakiegoś
drobiazgu, przechowywanego dotąd szczęśliwie przed złym okiem
dozorcy.

Bo nieraz można opierać się długo atakom huraganów i ugiąć się
wreszcie pod naporem lekkiego podmuchu.

Zbyt ciężko jest zdobyć w Oświęcimiu równowagę, by zapewnić
jej utrzymanie do końca.

W nieustających zapasach życia i śmierci w Oświęcimiu nie zawsze
śmierć występuje jako strona atakująca, nie zawsze człowiek broni
się przed nią, uchyla wszystkimi siłami od jej ciosu. Bywa też, że
to śmierć właśnie umyka przed człowiekiem. Człowiek napada, goni,
usiłuje pochwyć obojętną wybawicielkę. A ta poddać się nie chce.
Ucieka, wabi, wabi i ucieka.

Obóz otoczony jest wysoko w górę rozpiętym pasmem drutu
kolczastego. Poprzedza je pojedyncze włókno drutu, biegnące wokół
o trzy metry bliżej zabudowań i zaopatrzone w napis „halt“, ostrzega-
jący śmiałków przed przekroczeniem Rubikonu. Nocą, przez druty
wysokiego ogrodzenia, przepływa prąd elektryczny. Dniem i nocą
zaś pilnują całosci męki oświęcimskiej strażnicy na wieżach wartow-
niczych, wyrastających co kilkadziesiąt metrów z gładkiego pasma
drutu. Z każdej wieży wysuwa żądło lufa karabinu maszynowego.

Nieraz — a dzieje się to zazwyczaj przy powitaniu nocy z dniem,
o cichej godzinie świtu — przemyka po schodach baraku postać
więźnia. Biegnie w stronę ogrodzenia, mija wzgardliwie ostrzegawcze
„halt“ i wpatrzona w ciemniejącą na wieży sylwetkę wartowników
zdąży do zwartego, kolczastego pasma. Twarz więźnia próbuje ułożyć
się w wyraz zuchwalstwa. Ucieka! Niech wartownicy uwierzą
ucieka! Ale tragiczna maska inną wypowiada prawdę — wyziera
niej rozpaczne błaganie: Obrzućcie kulami! Zabijcie!

Posłuszny wcale nie błaganiem niecierpliwego więźnia, ale prze-
pisom obozowym, karabin maszynowy warczy i wyrzuca przed biegną-
cym człowiekiem serie wystrzałów, nie czyniąc mu żadnej szkody.
Nie dosięgł go ani jeden tak upragniony pocisk.

Człowiek biegnie dalej wzdłuż napiętych równiutko drutów. Nie
dotyka ich, ale i tak nie są one teraz zabójcze: prądu nie ma za dnia.
Człowiek zbliży się w biegu do drugiej wieży. Tym razem śmierć
przyjęła wezwanie. Dwie kule ugodziły ramię więźnia. Człowiek goni
dalej broczący krwią, ale wciąż pozostający wbrew woli w służbie życia.
Karabin trzeciej wieży jest zręczniejszy, trafia w pierś, nie dotarł
jednak do serca. Uciekająca śmierć nie chce kończyć gry. Zawzięty
prześladowca ściga ją i wreszcie zwycięża. Pada na warujący, najeżony
drut ogrodzenia ze zmasakrowaną twarzą. Nie maluje się na niej już
ani zuchwalstwo, ani błaganie. Wyraża nicość śmierci.

CZEŚĆ II

KRONIKI GENERALNEJ GUBERNI

Pragnąc w poniższych obrazkach życia okupacyjnego w G.G. dać materiał przede wszystkim dokumentarny, piszę tylko o tym, co własne me oczy widziały, co własne uszy z najwiarogodniejszych — drgających cierpieniem, gniewem, wzdargą — ust posłyszały i co — wreszcie — własne serce przeboleło. Dokumentu nie wolno fryzować, nie wolno sztucznie, imaginacyjnie poszerzać horyzontu. Dlatego zakres tych „świadcstw“, wystawionych okupantowi, tak jak je przypadek podsunął, jest ciasny, nie wybiega przeważnie poza Warszawę i jej okolice. Zawarte tutaj skrawki faktów, zjawisk zgarnięte są z ulic, domów, pociągów, szos, ścieżek leśnych.

Trudno też w obecnych warunkach o dobieranie dogodnego punktu obserwacji. Trudno również o spokojny i względnie bezpieczny kąt, gdzie można byłoby je przełać na papier. Dlatego zawarte tutaj obrazki podobne są do zdjęć w pośpiechu, chyłkiem dokonanych, rzadko kiedy udawało się uchwycić je na wprost, częściej robione są ukradkiem gdzieś z boku, z dołu, z góry. Nie powinno to podawać w wątpliwość ich autentyczności, tylko wytlómaczyć, dlaczego są przeważnie urywkowe i niekoniecznie wyraźne.

WARSZAWA BIERZE!

Pociąg za kwadrans dobiegnie do Warszawy, za chwilę przystanie na ostatniej przed nią stacji w Rembertowie, skąd wyruszył właśnie inny pociąg w odwrotnym kierunku. Podwójnemu warkotowi mijających się „żelaznych smoków“ towarzyszy wówczas niezmiennie potężne mruknięcie olbrzyma, który zwrócony jest ogonem do stolicy. Pomruk wyraża ni to pozdrowienie ni to groźbę. Trudno przy łoskoczącym wtórze żelaznych kół, wygrywających na szynach, przy wrzaskliwym brzęku chybotliwych pudeł wagonów i żalosnym skrzypieniu niedooliwionych osi, wyodrębnić bez błędu zasadniczą melodię, przerzuconą jako okrzyk głosów ludzkich z jednego pociągu do drugiego. Uchowaj Bóg spleść tak spokrewnione i tak różne zarazem motywy. Okrzyk, wyrzucony całą siłą piersi przez okna pociągu brzmi zazwyczaj: „Warszawa bierze!“ lub rzadziej znacznie: „Warszawa dobrze!“

Na tę jedną maleńką chwilę mijania się pociągów milkną w nich wszystkie głosy, rozmowy. Podróżni zamieniają się w słuchające uważnie ucho, muszą wiedzieć dokładnie, czy to wita się ich pogodnie, czy też groźnie ostrzega.

Wszystkie człony wielkiego jęczącego i skrzypiącego smoka naderadowane są po brzegi i nawet poza nie, gdyż fala ludzka wylewa się i na stopnie, oblepione podróżnymi i ich bagażami. Tylko brzuch smoka jest względnie pusty: środkowe wagony z tabliczkami „nur

für Deutsche“ mają zwykle, normalne zagęszczenie ; „Deutsche“ o różnym stopniu nasilenia, mundurowi, cywilni, reichs'e i volks'e — siedzą sobie wygodnie na ławkach po kilkoro w wagonie. Wagony polskie natomiast — kilka za lokomotywą i kilka końcowych — pękają dosłownie pod naciskiem ciał ludzkich i najrozmaitszych bagaży. Szyby w oknach od dawna już zmiażdżyła napierająca fala podróżnych ; okienne otwory zabite są deskami lub tafelką dykty z maleńkim dziesięciocentymetrowym szklanym „judaszkiem“ w środku.

Najważniejszy jednak jest tu nie żywy ludzki ładunek, ale wory, worki, toboły. Pełno tego na półkach, pod ławkami, w przejściach. Rzeczy zadają udrękę ludziom, odbierają im resztki wygody w podróż, krępują ruchy, tamują oddech, pieczętują sińcami ciała, zdrapują skórę, szarpią ubranie. Rzeczy są tu najważniejsze, bo dają ludziom możliwość życia. Mąka, chleb, słonina, masło, jaja. Ten towar drogocenny trzeba przewieźć zrzęcznie do Warszawy i sprzedać, aby zarobić i żyć. Prawie wszyscy podróżni — to handlarze i handlarki. Handlarze wojenni, przymusowi „szmuglerzy“, dzięki którym stolica ma co jeść ; „potajemni“ handlarze, szarpani na każdym kroku przez idiotyczne zakazy i nakazy okupanta, który otrzymałby z pewnością pierwszą nagrodę za wspaniałe zanarchizowanie życia gospodarczego w G.G.

„Warszawa bierze!“ — powtarzają zasłyszany w biegu przez otwory okienne pomruk. Jest to jak gdyby hasło do rozpoczęcia piekielnego tańca ciał zgrzanych w nieprawdopodobnej ciasnocie. To po kilkanaście osób w wagonie sięga po swe sprawunki : wysiadają zaraz na ostatniej stacji przed Warszawą i pójdą piechotą do miasta, uginając się pod ciężarem towaru. Stacją się worki z półek, zawadzając o głowy stojących, opierają się kosze o ich nogi. Pierwsza transza wysiada, przejęła się ostrzeżeniem. Ryzykancka reszta postanawia przekomarzać się z losem. Może jakoś uda się. Stojąca przy ścianie między oknami nowicjuszka-handlarka dygocze : przedwczoraj odważyła się po raz pierwszy, pojechała z towarem, kupionym za pożyczone pieniądze, sprzedała szczęśliwie, długu nie zwróciła jeszcze, teraz za podwójną sumę kupiła rąbanki ; jeżeli odbiorą, straci nie tylko swoje, ale i pożyczone. Stara, wyćwiczona czterema latami okupacji gwardia szmuglerska dodaje biedaczce animuszu :

„Tylko niech się pani nie ogląda, nie zatrzymuje i prosto na nich wali, jak gdyby nigdy nic“.

„Może szkoda, że z tamtymi nie poszłam pieszo . . .“

„Diabli wiedzą, czy dojdą, już się „czarni“ zmądrzyli i obstawiają szosę przed Warszawą“.

Tłusta rąbanka, którą kobiecina ukryła na własnej chudej piersi, wzdyma się od przyspieszonego oddechu. Policzki nowicjuszki pokrywają wypieki tremy. Pociąg zwalnia przed dworcem Wschodnim. Staje.

Już przez opuszczone deski okien zobaczyć można przygotowania do widowiska p.t. „Warszawa bierze“. Z wagonów, stojących na pobliskim usypisku toru, widać dwóch żandarmów przechadzających się przed wejściem do hali peronowej ze swymi pomocnikami : popielatym wilkiem i brązowym kudłaczem niewiadomego rodzaju.

Awangarda najodważniejszych i najbardziej doświadczonych wysypuje się przedko z wagonów i wali naprzód. Szybko i niby beztrudno

a obojętnie balansuje niski, krępy mężczyzna 30-kilogramowym workiem, jak gdyby to było nic nieznaczące zawiniątko. Lekkie to, nie zawiera nic cennego.

Halt! — żandarm kłusuje wraz ze swym psem. Wilk roznamiętnia się, podskakuje do idącego spokojnie handlarza. Smycz wyciągnięta w prostą linię zgina się w coraz głębszy łuk, poczym znów napina się w cięciwę: psisko skoczyło do piersi człowieka, ściągnęło mu z ramion worek. „To tylko kartofle“ — próbuje bronić swej własności podróżny. Wilk obwąchuje worek i szuka jak opętany. Wywęszył „szpek“ czy inne krwią zalutujące jądło, ukryte między kartoflami. Żandarm kopniakiem po worku nakazuje właścicielowi złożyć towar na rosnącym pod murem stacyjnym stosie.

I drugi pies ze swoim „wystawiaczem“ zwierzyny — pękatym żandarmem nie próżnuje. Psy podskakują, warczą, szczerzą zęby, żandarmi uwijają się, wypatrując bardziej interesujące kosze, zawiniątką.

Liczba aktorów grających pierwsze role zwiększa się w miarę przybywania tłumu statystów-podróżnych z paczkami. I kostiumy mają inne. Już nie zielono-popielate mundury, ale zwykłe cywilne ubrania; „cywile“ nie mają psów do pomocy, własnoręcznie łapskami gmerają w workach, koszykach, własnymi grabami zagrabiają nie własne rzeczy. Pod murem rośnie stos „skonfiskowanej żywności“. Na ulicy tuż przed stacyjnymi zabudowaniami stoją ciężarowe budy samochodów, do których załaduje się łupy, zdobyte w biały dzień na oczach tylu świadków.

Cywilni panowie „urzędują“ nie tylko z rozkazu Niemców. Widać z ich obżartych gęb i bezwstydnie ochoczych ruchów, że rola przypadła im do serca i do żołądka. „Grają“ z zapalem.

Nowicjuszkę dopadł w samym przejściu wielki drab. Już, już, już miała się wydostać na ulicę. Zdradził ją może nieopatrzny ruch ręki, poprawiającej chustkę na piersiach, może źle ukryty lęk w oczach. Wpadła. „Tajniak“ odciąga ją na bok, rozchyła chustkę, rozpina kaftanik i z triumfem ściąga zabawny sześciokilogramowy „serdak“ rąbankowy, nałożony na koszulę. Odmotuje sznurek, którym przymocowała kobieta przedni płat tłustego mięsa na piersiach do drugiego na plecach i ściąga chciwymi łapami niby żywe, skrwawione ciało ze znieruchomiałej postaci. Drobną kobiecina stoi sztywno jak posążek grozy z uniesioną do góry głową i patrzy wprost w oczy draba. Przeshywa go twardym spojrzeniem rozpacz, nienawiści i pogardy. Aż ludzie odwracają głowy i przyjaznym uśmiechem uświetniają ten chrzest bojowy nowej handlarki.

„Mało go nie zje tymi ślepiami!“.

Setki ludzi z workami, zawiniątkami, koszami sphywają wciąż z czeluści peronowej. Przedostać się cało przez wąską zatłoczoną gardziel przejścia — ująć przed uwagą węszących niby legalnie grabieżców i ich psów! Niewielu udaje się ta sztuka. A stos zrabowanych rzeczy rośnie, rośnie. Słonina, mąka, zboże, chleb — ciężki haracz, wydzierany chciwą łapą okupanta. Ile w tym dosłownie „ostatnich groszy“, postawionych na ryzyko wygranej, ile przebiegniętych kilometrów w poszukiwaniu niższych cen, ile nieprzespanych godzin w wagonie, w przydrożnym stogu, zimnej stodole i ileż — nadziei, niepokoju i determinacji.

Przegrana loteria. Ale trudno. Szlaku szmuglerskiego nie opustoszą

żadne diabelskie wymysły niemieckie. Będzie się nadal roił od handlarzy — ludzi, którzy chcą żyć i utrzymać przy życiu swe rodziny szczęśliwsze.

Nie dawać się, chociaż „Warszawa bierze“, chociaż podobne rabunki odbywają się w wielu innych punktach: na mniejszych i większych stacyjkach, na dłuższych czy krótszych szlakach, na wschodnich, zachodnich i północno-południowych liniach kolejowych G.G. Nie dawać się! — brzmi hasło szmuglerskie. Na podły fortel niemiecki odpowiadać sprytnym fortem polskim. Wysiąść po drodze i kłusować dodatkowy dziesiętek kilometrów, rzucić towar na drugi tor, ukryć w ubikacji. Przechytrzyć wroga — nie dać się!

P E D A G O D Z Y

Lubią Niemcy pysznić się swą tradycją jako naród muzyków, filozofów i pedagogów.

Oto kilka przykładów stosowania przez nich nowoczesnych metod nauczania, podyktowanych wymogami zachodnio-europejskiej kultury.

* * *

Na małej stacyjce Kłosów pociągi przystają zazwyczaj na krótką chwilę. Gdy więc pewnego dnia postój pociągu przedłuża się, niepokój przebiega wzdłuż wagonów. Kontrola. Kto nie ma biletu? Drzwi wszystkich przedziałów otwarte. Konduktor Niemiec biega od jednego do drugich. „*Raus*“ (groźne szczeknięcie, które towarzyszy każdej niemal funkcji urzędowej). Tłum podróżnych rzuca się do ucieczki. Na wszelki wypadek. Konduktor wyciąga jednak kogoś bez biletu z wagonu. Chłopak wyrwa się, usiłuje wiać. Szczekanie Niemca przemienia się w dzikie warczenie, któremu wtóruje wściekłe walenie pięścią po głowie, po twarzy... Nauka — nie wolno jeździć bez biletu. Dopiero po osiągnięciu błęgiego snąc odrętwienia ta sama ręka, która udzieliła pogładowej lekcji, przystępuje do wypisania mandatu karnego. Pasażer płaci karę, bierze kwit i przez zaciśnięte zęby szepce: „*Danke schön*“. Nauka nie poszła w las. W głosie chłopaka odczuć można naprawdę zapowiedź przyszłej podziękii, gdy przyjdzie czas.

* * *

Za niepełne dostarczenie kontyngentu zbożowego, kartoflanego i mlecznego w gminie Olszówka wysiedlono 26 rodzin. Przez wieś i miasteczka defilował pochód ponad stu osób z transparentem: „Jesteśmy wysiedleni, bo nie dostarczyliśmy kontyngentu“. Tłum wypędzonych z gniazd mężczyzn, kobiet, dzieci maszeruje z „osłą tabliczką“, która ma zastraszyć innych opieszających, leniwych. Jak w szkole. Kobiety i dzieci nawet zamknięto w gmachu szkolnym pobliskiego miasteczka. Mężczyzn skierowano od razu do obozu. Kobiety z piskletami po pewnym czasie zwolniono — bez prawa powrotu do własnych gospodarstw. Tułają się dotychczas po cudzych rodzinach.

Zabieg pedagogiczny okazał się w skutkach wspaniały. Chłopi zwożą dniami i nocami wozy ziemniaków, zboża do paszczyki niemieckiej, rozwartej w spółdzielni rolniczej.

Wśród wysiedlonych rodzin były i takie, które swój obowiązek kontyngentowy wypełniły całkowicie. Ale niemieckiej pedagogicznej zasadzie zbiorowej odpowiedzialności bez indywidualizowania winy — stało się zadość.

* * *

Na podwórzu u sołtysa gromady Lipiniec odprawa mleczna. Stawić się mają wszyscy właściciele lub właścicielki krów. Okrągły rok należy dostarczać codziennie z litry mleka na kontyngent.

Urządzuje trzech cywilnych panów — przedstawicieli „Agrilu“ czy innej niemieckiej zlewni mleka — oraz polski policjant. Jeden z panów uzbrojony w bat wywołuje kolejno :

„Kurek Władysław !“

Kurek występuje ze stłoczonej, zalęknionej gromady chłopów.

„Dlaczego przynosicie tylko litr mleka ?“

„A bo proszę wielmożnego pana Agrila krowa cielna, zapuszczona, to i . . .“

Bat z błyskawiczną szybkością smaga Kurka po twarzy.

Na policzku Kurka występuje krwawa smuga, której po chwili już prawie nie znać : cała twarz nabiega krwią oburzenia i wstydu.

„Teraz wiesz już, ile masz mleka dostawiać ?“

Kurek jest pojętny. Już rozumie. Będzie codziennie oddawał dwa litry, chociaż jego krowa daje teraz w sumie przez cały dzień tylko jeden jedyny litr : cieli się za miesiąc.

Lekcja odbywa się dalej.

„Rybak ! — dlaczego mleka nie przywozisz ?“

„Dzieci pięcioro, samym nie starcza . . .“

Bat nie powołany tym razem do działalności przechodzi do lewej ręki oprawcy. Prawa zaś grzmoci Rybaka po szyi i po zębach. Jegomość z batem nie rozumie i nie mówi po polsku. Urzędowanie odbywa się za pośrednictwem tłumacza, drugiego cywila — Volksdeutscha. Kobiety otrzymują podobną nauczkę, tylko przez galanterię smaga się je po tydkach. Banaszkowa, która jest w doskonałe już widocznej ciąży, zostaje równouprawniona z innymi : po paru dniach pokazuje jeszcze sine pręgi na nogach.

* * *

Z całej gminy Niewiady mleko kontyngentowe dostarczają chłopci do zlewni w Wólce. Dostawa jest zorganizowana zasadniczo w ten sposób, że z każdej wsi czy osady odwozi mleko wozem codziennie inny gospodarz.

Ale oto pewnego dnia mleczni panowie z Wólki zarządzili : każdy gospodarz czy gospodyni musi w ciągu dwóch tygodni codziennie przywozić mleko od swej krowy czy krów osobiście. I to na 7-mą rano.

Jeżeli spóźni się chociaż jedna osoba i bodaj o jedną minutę —

wszyscy będą nosić mleko jeszcze tydzień. I takie samo zarządzenie wydane zostało jako kara za dostarczanie niepełnowartościowego mleka: niektóre (prawdę mówiąc raczej wszystkie) gospodynie trochę mleko chrzcili, trochę podbierały śmietanki, ale przecież oddawać za darmo — i to jeszcze Niemcowi — grzech.

Gmina Niewiady jest bardzo duża. Średnia odległość od bliżej położonych wiosek do Wólki wynosi od 8 do 10 kilometrów. To znaczy karny nadprogramowy spacer poranny przed ogromnym dniem pracy w polu i w domu liczył ok. 20 kilometrów. Bo przecież i wrócić z Wólki trzeba. Dla wielu innych dalszych wiosek przechadzka z bańką mleka zabierała ok. 5 godzin codzień.

Panowie z Wólki ustawiali się co rano przed mleczarnią z zegarkami w rękę i rozbawieni wielce wyglądali na szosę: „Za pięć siódma! Za cztery siódma! Za trzy!” — wykrzykiwali, porykując ze śmiechu na widok biegnących truchtem bab i chłopów, z których pot zmęczenia i lęku — spóźnią się! — skapywał na zroszone w chłodzie porannym bańki.

Wesoła lekcja trwała dłużej niż zapowiedziane dwa tygodnie, gdyż spóźniający się od czasu do czasu wciąż się trafiali. Bieg z bańkami do Wólki zrobił jednak swoje: nauczył nienawiści spokojne wioski podwólczańskie.

* * *

Zgubił, czy nie wykupił biletu, czy też po prostu śpieszyło się chłopakowi do domu, dość, że nie poszedł z pociągu w szeregu defilującym przed bileterem, tylko skoczył do dziury w parkanie, okalającym stację.

Zobaczył to zawiadowca Niemiec i zawrzał złością. Zobaczył też i jego pies, śliczny wilk i machnął ogonem. Porozumieli się. Pan warknął coś, niby po niemiecku, ale zupełnie po psiemu. Pies nic nie odpowiedział, tylko skoczył za chłopakiem. Spotkał się psi rozwarty pysk z pobielającą ludzką twarzą. Kłapięcie psich zębów krwawy strumyk spływa środkiem twarzy chłopaka, tuż pod miejscem, gdzie każdy człowiek ma nos. Ale nos chłopaka zmienił jak gdyby właściwe miejsce, nie wydaje się już być dostatecznie mocno przytwierdzony. Chwieje się, jak niedomknięte, poruszane wiatrem na zawiasach, drzwi. A spływająca krew z ran wymalowuje na młode twarze, nie mającej jeszcze zarostu, wąsy, brodę.

Niemiec dopadł uciekającego i potrząsnął z wściekłością za plecy. Nadgryziony do połowy nos osiemnastoletniego niedorosłego mężczyzny rozpryskuje ukośne fontanny krwi, plami mundur kolejarza. Pies spogląda pytająco na pana. Lekcja skończona: nauczyli Polaka chodzić właściwym przejściem z peronu.

SZCZĄTKI RODZIN

Wiadomo: podstawą każdego społeczeństwa jest rodzina. Zdrowe, mocne komórki rodzinne wplatają się w normalną tkankę gromady. Nasze pokolenie przesądziło już konflikt Judymowy na niekorzyść Żeromskiego — szczęście rodzinne jest najlepszym, najżyźniejszym

podłożem dla pracy społecznej. Jednostka, wsparta na miłości i przywiązaniu rodzinnym, wznieść się może na daleko wyższe poziomy ekspansji społecznej, niż zgorzkniały samotnik. A cóż dopiero samotnik nie z powołania, ale człowiek osamotniony ciosami losu.

Cztery lata okupacji uderzają systematycznie w rodzinę polską, rwą ją i niszczą. Stajemy się coraz bardziej okaleczalym pokoleniem, w którym pozostały już tylko szczątki rodzin. I przekraczać będziemy próg nowej Polski nie tak upojnie radośni, jakby to czynić mogli ludzie stojący w szeregu rodzinnym bez wyrw, w kole rodzinnym o nieprzerwanej doskonałej linii. Wróg obniżył okrutnie polski potencjał twórczy, nie tylko dlatego, że zniszczył uniwersytety, szkoły, pracownie naukowe, ale dlatego przede wszystkim, że obuchem potwornym w okrutnym bezsensie uderzeń zmasakrował rodziny. Cały kraj spowija długi welon żałoby, snujący się od jesieni roku 1939 i rozpościerający coraz ciemniejszą zasłonę po przez wszystkie lata okupacji.

Tysiące matek w Polsce nie zdejmują czarnych sukien od początku wojny. Jedna śmierć goni drugą, nie pozostawiając rocznego obyczajowego terminu noszenia żałoby. Tysiące dzieci nie zna ojców — zmarłych w więzieniach i obozach.

Nie trzeba sięgać do żadnych statystyk — mały próbny przegląd najbliższego otoczenia da dostateczny obraz rzeczywistości. Należy go tylko powiększyć a raczej uprzytomnić sobie, że suma tysięcy podobnych ilustracji składa się na całokształt nieszczęść okaleczonych rodzin w Polsce.

Niechaj pozostaną bezimienne na tych kartkach, ale niech ból ich świadczy, na jak skruszonych smutkiem podwalinach wznosić się zacznie gmach odrodzenia.

* * *

Było ich sześcioro. Wielki dom napełniony gwarem młodzieży, rozmowami z matką, ojcem. Praca, nauka, sposobienie się młodych do lotu, świadomość dojrzała rodziców. Pierwszą ofiarą padł ojciec, zgruchotany bombą w dniach oblężenia Warszawy. W kilka miesięcy później aresztowany przez Gestapo wysłany zostaje do obozu najstarszy chłopiec. Potem umiera najmłodsze dziecko w wyniku choroby, która ma przebieg „dziwny jaki tylko podczas wojny daje się zaobserwować“, jak wyraził się przerażony lekarz. Wreszcie przychodzi nowy cios: aresztowanie i zesłanie do obozu córki. Z całej wielkiej rodziny zostaje matka i druga córka. Paczki do obozów i listy z obozów stały się główną treścią ich pracowitych dni i bezsennych nocy. Utrzymać ściśnięte bólem serca, by były równo, jak wprawnie pracujące maszyny — jakże trudne zadanie dla istot, których życie rozpięte jest między biegunami rozpacz i nadziei.

* * *

Wysiedlenie. A więc opuszczenie w ciągu kilku godzin dachu nad głową, zostawienie całego dobytku na żer wroga. Straszne — ale nie najgorsze jeszcze. Byle wszyscy razem, byle nie zgubić się w tej za-

wierusze. Byle nie odłączali dzieci od rodziców, żony od męża. I to właśnie się staje.

W partii wysiedleńców z Płocka oddzielono na samym wstępie mężczyzn. Panią Wirską z dwiema córeczkami, prowadzonymi za rękę i dzieckiem poruszającym się w jej łonie, skierowano wraz z innymi kobietami i dziećmi do kwarantanny. Mąż z grupą mężczyzn pozostał na razie na stacji. Gdy w parę tygodni później pani Wirska urządziła jakoś swe życie w Warszawie, zaczęły przychodzić listy od jej męża z Oświęcimia, a po kilku następnych tygodniach przyszedł na świat wyczekiwany synek, urodzony jako pogrobowiec. Zbliżyły się zresztą prawie dokładnie obydwie daty: zakończenia mąk ojca w Oświęcimiu i narodzin syna.

* * *

Państwo Staszewscy mieszkają na wsi. Szczęśliwie ominęły ich szlaki wkraczających wojsk niemieckich, oszczędziły bomby, gruchoczące pobliski tor kolejowy i miasteczko. Jesienią wypadały imieniny młodszego chłopca. Wojna, smutno, ale przecież można zaprosić trochę kolegów, znajomych. Tadzio pojechał, właściwie „skoczył” do Warszawy, bo to blisko, po trochę ciastek. Uroczystość imieninowa nie udała się — nie było ciastek. A właściwie nie wrócił Tadek z ciastkami. Wściekły przypadek chciał, że chłopak trafił na jedną z pierwszych łapanek warszawskich. W domu zalał się lekki niepokój. Wówczas nie wiadano jeszcze, że ze Skaryszewskiej poprzez Oświęcim wędruje się na drugi świat. Tadzio z Oświęcimia zdążył dać jeden tylko znak życia. Zaraz po pierwszym jego liście, zaczynającym się od słów: *„Ich bin gesund und fühle mich gut“* przyszło oficjalne zawiadomienie o jego śmierci.

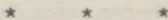
* * *

Nie mapy Włoch, Rosji, Afryki rozłożone są na biurku w mieszkaniu państwa Mikulskich. Króluje tam plan Berlina. Codzień po przeczytaniu komunikatu, który roznosi okrutną a radosną wieść o bombardowaniu stolicy Rzeszy, pp. Mikulscy prowadzą drżące palce po płonącej zapewne do tej chwili Unter den Linden, Friedrich-strasse i szepcą do siebie: „Ale to daleko od Moabitu”. W Moabicie jako więźniów czekający na śledztwo i sprawę siedzi ich syn, wydarty z domu i przewieziony do Niemiec przed dwoma laty. Syn starszy. Młodszy jest tuż pod bokiem. Na Pawiaku. O tego drugiego dotychczas bali się więcej. Bo przecież codzień niemal odbywają się egzekucje na ulicach Warszawy. Ale ten jest jednak blisko, można się modlić dziękczynnie — jeszcze dziś żyje. Więzień bombardowanego miasta przyprawia o większe drżenie, pełzające po planie Berlina, palce bezsilnych rąk rodzicielskich, które nic dla najdroższych istot na świecie uczynić nie mogą. A przecież cudu trzeba, by nie pękł cienki włos, utrzymujący jeszcze te dwa istnienia przy życiu.



Chuchała, dmuchała — i pięknie jej para wyrosła. Przed samą wojną „dojrżeli” i dziewczyna i chłopak do matur, w rok jedno po drugim. A w trzecim roku wojny oboje jednocześnie „dojrżeli” do Pawiaka. Jedno z drugim. I zaczęły dni noszenia paczek do więzienia, wyczekiwanie własnoręcznie pisanych listów, starań o zwolnienie nadziei i zwątpień. I przyszedł po roku dzień smutku i radości. Jeden po drugim: córkę wywieźli do Majdanka, chłopaka zwolnili. Wrócił do domu, do matki, której serce naprzemian pęczniało, że przytulić może jedynaka i ścisłało się z żalu, że jedynaczkę nie wiadomo kiedy przygarnąć będzie mogło.

I nadszedł niezadługo jeszcze inny dzień, kiedy obie połówki serca matki zgodnie zaczęły zamierać w okrutnej rozpacz. Chłopiec wyszedł na ulicę, miał przy sobie nawet legitymację szkolną i nie wrócił więcej. Wpadł w zwykłej ulicznej łapance i awansował do roli zakładnika. Najdroższe imię i nazwisko wyczytała matka w dwa dni po łapance na liście, w górnej jej części, gdzie figurowały zazwyczaj nazwiska zakładników, kandydatów najbliższej egzekucji. A po upływie strasznych czterdziestu ośmiu godzin znalazła je na innym krwawym arkuszu. Oczywiście same pobięły w dół, do dolnej połowy wielkiego obwieszczenia, gdzie jak w mogile spoczywało imię ukochane, pośród stu czterdziestu innych żałobnych nazwisk rozstrzelanych.



Przyszli po „niego”, ale ponieważ w przewidywaniu wizyty od dawna nie przebywał w domu, zabrali „ją”. Pozostałe pisklęta — chłopca i dziewczynkę — przygarnęli przyjaciele. Gniazdo — dom przestało istnieć. Maleństwa żyć muszą tym, czym nawet nie każdy dorosły potrafi się nasycić: nadzieją. „Moja mamusia jest w Oświęcimiu, a tatuś niewiedomo gdzie” — informowały dzieci do niedawna swoich kolegów i koleżanki. Od kilku dni pierwsza połowa „informacji” uległa zmianie: „Moja mamusia umarła w Oświęcimiu...”



Tłok straszny w tramwaju. Na peron z trudem dostaje się jakaś kobieta z małym dzieckiem na ręku. Dzieciak popłakuje. Kobieta uciska go twardym, surowym głosem: „Cicho! wojna!” a po chwili, jak gdyby zwracając się do współpasażerów, czy też mrużąc do siebie: „No i nie zastałam go”. „Kogo?” zapytuje najbliższy sąsiad. „No — tego, co mi ma syna zwolnić z Pawiaka”. „Dawno siedzi?” „Złapał go w tej łapance na placu Napoleona. Już 10 dni siedzi. Jadę aż z Woli na Mokotów — i nie zastałam go, no! Co ja mam kłopotów. Mąż mi umarł na początku wojny. Nie powiem żeby co — oczywiście na łóżku umarł. Na gruźlicę. Jeden syn zginął w Dachau. Już rok minął. Jutro znów do tego muszę jechać na Mokotów. Obiecał, że syna wydobędzie”. I znów do kwilącego dzieciaka: — „Cicho! Nie płacz! wojna!” „Ale chyba już jutro pani tego płaczącego bagażu ze sobą nie zabierze” — uśmiecha się rozmówca, starając się osłona

własnych łokci zrobić trochę wolnego miejsca dokoła kobiety z dzieckiem. „A jakże! A z kimby to zostawiła? Matka tego już zrobiła kaput w Majdanku. Gdzie to podzięję?” „A czyje to?” „Siostrzenicy mego męża. Sierota, to się tak drze. Cicho głupi, wojna”.

Żałobny welon starej zaplatał się między stłoczonymi ludźmi, ściągnął śmiesznie czarny kapelusz na bakier z siwych włosów. Kobięcina wyciąga stłamszoną krepę z magla czyichś ramion, pleców, poprawia kapelusz i ucisza dzieciaka twardym, chropawym głosem.

* * *

Nieraz zmieniają się role opłakujących i opłakiwanych. Opłakujący zostaje sam, musi rozdzielić swe łzy między wszystkich najdroższych.

Po Janowiczów przyszło Gestapo o 7-ej rano. Najmłodsza córka, której droga do biura zajmuje około godziny, nie ufając tramwajom, do których tak trudno wtoczyć się w rannych godzinach, już była wyszła z domu. Ojciec, matka i czworo rodzeństwa — sześć osób przewieziono na Aleję Szucha i następnie na Pawiak.

Wiedź o klęsce zdążyła na czas zalecieć do biura. Dziewczyna opuściła je na 5 minut przed przybyciem Gestapo.

Uratowała wolność, ale jak zdoła zdźwignąć taki ogrom bólu młoda, najmłodsza w rodzinie istota?

* * *

Gorące kluski na mleku otrzymuje więzień nr. .. w Tręblince. To matka przyjeżdża co tydzień pod obóz, gotuje w miasteczku kluski z białej maki, nalewa do bańki, zawija w chustkę — i swą historią — spowiedzią stapia serce strażnika, który nie broni babinie podania ciepłej strawy synowi.

„Panie kochany, jedyny — syna jednego już mi ubili w Oświęcimiu, nawet pomodlić się na grobie jego nie będę mogła, nieszczęśliwa, mąż zginął w niewoli, córka pracuje u „baora“ w Prusach, tak dobrze pracuje, że jej baor puścić na urlop nie chce, sama ja jedna na świecie, pozwól panie kochany te kluski Staśkowi podać, Bóg ci pobłogosławi...”

I kluski przedostają się za ogrodzenie do Staśkowych zgłodniałych ust. Ale żeby przeżyć katogę Trębłinki, trzeba byłoby jeść kluski codziennie.

* * *

W niewielkim miasteczku Wisiory stoi wielki kościół obliczony na rozrost osady. Zazwyczaj nawet podczas najuroczystszych świąt w mrocznych nawach zostaje dość miejsca dla tych przyszłych parafian. Ale pewnej chmurnej niedzieli grudniowej trudno przecisnąć się do ołtarza. Napłynęli ludzie z okolicznych wiosek, nadjechali z Warszawy. Odbywa się nabożeństwo za dusze 10-ciu młodych chłopców, wyrwanych nocą z domu i straconych w parę dni później na ulicach

Warszawy. W egzekucji zginęli oczywiście nie tylko oni sami. Na wielkiej liście rozstrzelanych rozproszyło się dziesięć imion kolegów pośród stu innych skazańców. Oto w niedzielny poranek grudniowy znów są zgromadzeni w przerażonej pamięci zebranych w kościele parafialnym, gdzie wielu z nich niebardzo dawno, na niewiele więcej niż przed półtora dziesiątkiem lat kwiliło w poduszce w białej, długiej sukience, podawane do chrztu.

„Za dusze Jana, Józefa, Stanisława...“, za dusze dziesięciu młodziutkich chłopców odmawiają zdrętwiałe usta modlitwę. Za dusze dziesięciu niedojrzałych jeszcze, wydartych życiu dzieci spływają gorące łzy i z tych oczu, w których wzrastały od kołyski do chwili strasznego końca i z tych, które ich nigdy nie widziały.

Cisza. Prawdziwa cisza grobowa w wielkim kościele małego miasteczka. Głowy modlących się pochylają się coraz niżej w bólu i hołdzie. „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...“

I w pewnej chwili w to skupione rozpamiętywanie — cicho wlewają się głosy śpiewu: „Śpij kolego w ciemnym grobie...“ Równie jak kroki maszerujących żołnierzy, płyną słowa piosenki. Naraz krzyk strasliwy, bolesny, wstrzymuje marsz lotnych śpiewnych słów. To krzyknęło serce matki i zamarło na chwilę. Klęcząca przy balustradzie ołtarza kobieta osunęła się z klęczek i przewróciła na bok. Pieśń przerwał krzyk matki, która nie może się pogodzić z tym, że nie wie nawet, gdzie jest ten „ciemny grób“ jej syna.

Matki, ojcowie, rodziny straconych nie będą miały nigdy nawet tego pocieszenia, żeby przyjąć na mogiłę najdroższą ubrać ją w kwiaty, pokropić łzą, uświęcić spojrzeniem.

Nie wiadomo, jak wyglądają, gdzie się znajdują ciemne groby ofiar niemieckich egzekucji.

* * *

Można być dumną z takiej trójki, jak dzieci pani W. Zwłaszcza, gdy się je samej wychowuje. Mąż umarł na kilka lat przed wojną po pięknym, wypełnionym naukową pracą życiu. Dzieci — wszystkie w ojca: jedno zostaje zdolną lekarką, drugie i trzecie studiuje na uniwersytecie, ale wiadomo, że nie dla dyplomu, nie dla możliwości praktycznego zarobkowania. I te marzą o czystej bezinteresownej pracy naukowej.

Lekarka ginie na posterunku w szpitalu Dz. Jezus, gdy spada nań grad bomb wrześnieowych, chłopak w tym czasie walczy gdzieś na froncie, jest w pobliżu Lwowa. Żyje! jest! Przychodzi od niego wiadomość — wzięty do niewoli bolszewickiej. I zaczyna się od tej chwili wyczekiwanie na listy od Kazika i nie kończące się plany, jak to będzie, kiedy Kazik wróci. We wrześniu następnego roku najmłodsza córka prosi matkę: „Zdejm już żałobę. Kazik może wrócić — i poco ma odrazu wiedzieć, że Maryśki nie ma?“ Matka uśmiecha się — tak, bólu o Maryskę wystarczy dla nich dwóch, niech sterany wojną i niewolą Kazik przywita rodzinę wesołym uśmiechem.

I czekają. Więc kiedy Kazik wróci... Więc, kiedy Kazik skończy swą książkę... kiedy Kazik będzie tu z nimi omawiał dalszą pracę...

Wiosną 1943 roku znajdują Kazika na liście katyńskiej. Zginął z rąk katów w Katyniu.

Matka nakłada na nowo przedwcześnie odrzuconą żałobę.

* * *

Nie ma potrzeby mnożenia przykładów. Wszędzie, jak Polska szeroka i długa, sterczą samotne pnie ludzkie z poucinanymi zielonymi konarami, ze schnącymi, więdnącymi gałęziami. Dokoła w mieście i na wsi, w kamienicach i chałupach pozostały jeno kikuty okaleczonych dawnych zdrowych rodzin.

Trzeba przeczekać długą dziejową godzinę, aż narośnie przyszłe pokolenie, by nowe przedziwo Polski dało się mocno i trwale utkać.

W R A C A J A . . .

Nieporadnie zwisają przecięte druty kolczaste, otaczające do niedawna ghetto w miasteczku Wołowiec. Z domów wyziera przez wytłuczone szyby i uchylone drzwi pustka, wokół dzwoni jednostajna cisza . . .

Przed kilkunastoma dniami odebrano obywatelstwo globu ziemskiego gromadzie ludzkiej, zamieszkującej małeńki obszar za drutami : ghetto w Wołowcu przestało istnieć. Część Żydów wystrzelano na miejscu, część wywieziono na stracenie do Treblinki, część zaś zdołała uniknąć kataklizmu, rozpełzła się po świecie w wigilię masakry. Uciekła. Uniknęła śmierci.

Domostwa obrabowane ze wszystkiego — od lustrzanych szaf począwszy, skończywszy zaś na ostatnim piórku z nędznej poduszki — nie interesują już teraz nikogo. A jednak jakieś postacie snują się między niepotrzebnymi już, zerwanymi strunami drutów. Drepczą naprzód i z powrotem między pustymi domami. Oczy ich zdają się nic nie widzieć, uszy nie chwytają dźwięków, ale z obszarpanych, obłędnie chodzących sylwetek wyczytać można jedno : one czekają.

Przed kilkunastoma dniami gromada Żydów, zamieszkałych w miasteczku, uniknęła śmierci, wymykając się poza przekłete kolisko gheta i poszła w świat. Przytuliła ją las, przygarnęło pole. I tyle. Nie dostali przecież nigdzie, ani na jedną noc schronienia pod dachem. Nie doprosili się gorącej strawy. Wszędzie napotykali lęk ze strony tych wolnych z poza koliska : bo przecież udzielający pomocy Żydowi podlega karze śmierci. Dniami i nocami smagały zbiegów jesienne wichry, gnębiły zimne rosy i coraz zjadliwsze przymrozki. I wskazały wreszcie drogę powrotną serca kamienne, czy tchórzliwe. Wrócili. Wrócili po śmierć z ręki oprawcy, który zgładził już za winy niepełnione tysiące ich współbraci.

Łatwiej jest uratować życie, niż je utrzymać. Teraz czekają, drepząc bezmyślnie po kamieniach uliczki rodzimego miasteczka . . .

Czekają też żandarmi w pobliskiej knajpie. Nie warto im narazie zaczynać egzekucji. Przyjdzie jeszcze z pewnością wielu innych Żydów. Napływają przecież z okolicznych lasów od szeregu dni.

Oto ścieżką wzdłuż toru posuwa się troje dzieci. Dwunastoletnia dziewczynka z niemowlęciem na rękę i siedmioletni chłopak. Dzieci

są bose. Właściwie niezupełnie, gdyż nogi dziewczynki za każdym krokiem wprawiają w ruch strzępy pończoch. Chłopak ma na sobie tylko sweterek i dolną bieliznę ; w jego to zapewne spodenki owinięte jest niemowlę. Z oczu dzieci przebłyska nadzieja, gdy zbliżają się do snujących się za zerwanymi drutami postaci : może odnajdą tam zagubioną w straszliwym dniu ostoję wszystkich dzieci świata — matkę.

Gromada zwiększyła się o trzy istnienia ludzkie.

Po dwudziestu czterech godzinach czekania partia dojrzała do dostatecznej okazałości — wzrosła do osiemnastu osób. Popijający od dwóch dni żandarmi uznali ją za godną zachodu. Jeden z nich w asyście dwóch chłopów, mających spełniać rolę grabarzy, wszedł za zerwane druty, między gromadę niepilnowanych przez nikogo Żydów. Egzekucja odbyła się według ustalonego szablonu : każdy, co przyszedł dobrowolnie po śmierć, tak samo, jak i ci, co przed kilkunastoma dniami na tym samym miejscu stracili życie w straszliwej po nim tęsknocie, musiał zdjąć wierzchnie ubranie, położyć się na ziemi twarzą do niej zwrócony. Kula — przeważnie jedna — przeszywała czaszkę od tyłu. Troje dzieci, tak samo jak starsi, ułożyło się do wiecznego snu.

Wszystkie ubrania zabrali grabarze jako honorarium za kopanie dołów dla zwłok, chowanych w miejscu, gdzie padły : za zerwanym kolczastym drutem. Żandarm po skończeniu pracy otarł pot z czoła, chociaż osiemnastokrotne pociągnięcie cyngla nie jest przecież aż tak męczące, dzień zaś był chłodny, jak zwykle w końcu października.

Patrzac na to, chciało się krzyczeć :

„Ludzie, skoro nie możecie wywalczyć sobie życia, dlaczego żebrzecie o śmierć z rąk oprawców ? ! Ludzie ! Dlaczego nie rzucicie się im wprost do gardła ? !“

Ale to nie byli już ludzie, tylko nędzne ich ochłapy — zaszczute i odczłowieczone.

WIELKIE MIASTO TREBLINKA

Trudno zazwyczaj odgadnąć, co kryje się w zamkniętym szczelnie wagonie towarowym. Napis : 40 ludzi, 8 koni na sunących torami wozach nie wiele wyjaśnia. Tylko czasem niktęj wskazówki udzieli małeńkie okienko, widniejące tuż pod dachem wagonu.

Właśnie przesunął się długi pociąg złożony z wagonów z prześwitującą przez okienka tajemnicą. Na poziomych prętach, którymi zakratowany jest otwór, pełno zahaczonych o nie parasoli i parasolek. Zabawny widok. Okienka są wąskie. Na prętach widać tylko rączki — proste i fantazyjne, drewniane, stalowe, gładkie i rzeźbione. Resztę można sobie dopowiedzieć — dalszym ciągiem tych wyglądających na świat rączek są napewno jedwabie, płótna grube i cieńsze, czarne czy kolorowe, przeróżnych odmian damskich parasolek i męskich parasoli. Dziwaczny jest ten gigantyczny ruchomy magazyn galanterijny w sunącym na północo-wschód pociągu. Z poza jednego okienka w przedostatnim wagonie miga twarzyczka kobieca. Kapelusze, woalka i spokojnie a ciekawie rozglądające się po okolicy oczy.

Stary kolejarz, zapytany co to za dziwaczny pociąg przemknął dopiero co po torze, udzielił wyjaśnień :

„To wiozą transport Żydów z Czechosłowacji. Wcale nie wiedzą, co ich czeka. Pytali, czy daleko jeszcze do Tręblinki, gdzie mają zamieszkać, i czy to jest bardzo wielkie miasto, bo przecież jest to miejsce osiedlenia wszystkich Żydów z całej Europy“.

Badaj to propaganda zagraniczna.

Właściciele parasoli i parasolek, które zabrali, by ich chroniły przed deszczami i słońcem, nie wiedzą, że Tręblinka słynie jako największa osobliwość świata. Jest to miasto rosnące z nienotowaną nigdzie szybkością — ludność jego co dobę powiększa się o kilka tysięcy. Największą wszak jego oryginalność polega na tym, że jest to miasto cieni.

Bo pociąg, który dopiero co mknął po torze w stronę Małkini, gdy dobiegnie przedpoli Tręblinki, zmieni obsługę: kolejarzy polskich zastąpi wojsko, wozy zostaną opróżnione z przybyłych z dalekiego świata ludzi. Powędrują oni do budynków noszących nazwę łaźni, skąd nie wyjdą już spowrotem. Tutaj nastąpi kres ich wędrówki. Powiększą zaludnienie wielkiego miasta Tręblinki ściśle o tyle cieni, ile żywych istot liczył transport. Pociąg zaś wraz z całym dobytkiem, nie wyłączając zawieszonych ufnie na prętach okiennych parasoli, potoczy się o paręset metrów dalej, gdzie cennym łupem podzielią się wartownicy.

SZUBIENICE W REMBERTOWIE

Wyczerpały się w ciągu trzech straszliwych lat rezerwy cierpliwości. Już ludzie czekać więcej nie mają sił. I dlatego umacnia, podjudza, przekonuje jeden drugiego: „już niedługo koniec“. Nie brak nawet tak upartych szaleńców, że zapowiadają nadejście tego końca przed Nowym Rokiem. Postanowione: idzie świt.

Wyżyłowują wieś kontyngentami zboża, bydła, ziemniaków — to nic, to ostateczne podrygi Niemców, którzy nie mają czym paść wojska. Łapią ludzi z ulic, mieszkań, pociągów na roboty — to nic, to znak, że sami już rąk do pracy nie mają. Zapęniają się więzienia, obozy, zaludniane najlepszymi ludźmi społeczeństwa — to nic, to spazm wściekłości wroga wobec zbliżającej się doń klęski.

W piątkowy ranek pierwszego tygodnia października, gdy pociąg idący do Warszawy zaczyna się zbliżać do Rembertowa, wśród podróżnych wszczyna się dziwny ruch. Wszystkie głowy zwracają się do okien. Zwykła byłaby to rzecz, gdyż tutaj właśnie można poinformować się czy „Warszawa bierze“ czy „nie bierze“, gdyby nie ta okoliczność, że głowy pasażerów ciągną do okien przeciwległych stacji.

„Cóż się stało?“

„A zaraz będzie widać powieszonych“.

Dzisiaj przed świtem wystawiono w Rembertowie na widok publiczny dziesięciu powieszonych Polaków.

Pociąg zwalnia biegu. Cicho się robi w pociągu. Oczy podróżnych błędzą niespokojnie po obramowanych oknami skrawkach nieba. I naraz okrzyki zgrozy z męskich piersi i szloch kobiety wplatają się w coraz wolniejszy klekot kół. Zachodnią połą nieba przekreślają prostokąty szubienic, ustawionych w równym szeregu pod kątem prostym do toru. Dziesięć nieruchomych postaci zda się spuszczać

po sznurze z nieba na ziemię. Z gładkiego, cichego, jesiennego nieba. Pociąg wolno defiluje przed szubienicami, składa hołd majestatowi najokrutniejszej spośród okrutnych śmierci. Oczy ludzi w pociągu wtapiają się w najlepiej widoczną sylwetkę wiszącego na pierwszej szubienicy. Ziemista twarz wylania się z niebieskich wylogów koszuli, bezwładne nogi zdają się wyciągać ku ziemi, ku godniejszemu miejscu spoczynku. Wzrok podróżnych biegnie dalej po przez olbrzymi szpaler postaci o pochylonych głowach, zawieszonych między niebem a ziemią.

Cztery inne dziesiątki wisielców od świtu dzisiejszego dnia sprawują straż w czterech różnych punktach w samej Warszawie.

Nie pierwsze to szubienice ; gdyby zgromadzić je wszystkie razem, te z przed dwóch tygodni z Radomia, Skierniewic, te dawniejsze z Kielc, Warszawy, wyrósłby ich cały las.

Nie pierwsze to symbole całego ogromu niemieckich zbrodni, ale może ostatnie !

„To nic“ — rozlega się w wagonie szept — „Niemcy zaczynają się nas bać, dlatego straszą szubienicami. To już idzie koniec“.

Gdy pociąg wieczorem tym samym żałobnym szlakiem wraca, oczy podróżnych usiłują daremnie dostrzec na tle ciemniejszego nieba ponurą krechę szubienic. Rozebrano je o zmierzchu. Nie udało się straszliwe widowisko. W ciągu dnia na nagim udeptanym twardo placu zakwitły kwiaty. Rzuciły je pod męczeńskie stopy niewidzialne ręce. Pociąg mija wolno uprzątnięte już miejsce świeżej kaźni. Z któregoś przedziału dobiegają ciche, ale wyraźne dźwięki sfatygowanej całodzienną zebranią harmonii: „Jeszcze Polska nie zginęła...“

Skończy się kiedyś upiorna, najbardziej ponura w dziejach noc, gdy szubienice dzierżą straż po całym kraju, gdy tysiące ludzi — niby tropiona zwierzyna — szuka schronienia w lasach, gdy w każdym miejscu i w każdej chwili czyha widmo niewolnictwa, katuszy...

U schyłku najstraszniejszej nocy wstanie przecież świt.

HIENY KRAJOWE

Im większa, gwałtowniejsza bije fala, tym obfitsza na niej piana się tworzy. Wzburzone wody, po których płyniemy od czterech lat okupacji, pokrywają się coraz gęstszą szumowiną. Z odmętów, wirów wypryskują niewidoczne przed tym brudne krople, mące obydnie obraz kraju, który niedość, że chwieje się pod ciosami obcego wroga, musi dobywać sił jeszcze i na walkę z własnym żywiołem rozkładu.

Namnożyło się, wylazło ze stęchłych kątów, z cuchnących występkiem podziemi, znalazło podatne do rozwoju podłoże mrowie hien, zerujących na biedzie, nieszczęściu.

Różne są odmiany hien rodzimych, w różnych miejscach i w różny sposób upodlających swe istnienie.

Hiena łagodna

Już w listopadzie 1939 roku, zaledwie zdążyła zapisać się pierwsza karta bohaterstwa Warszawy, zaczęły pojawiać się w mieście okazy brudnych, węszących hien.

Do drzwi kuchennych jednego z mieszkań warszawskich delikatne pukanie. Gospodyni uchyla drzwi. Za progiem skulona postać w żołnierskich spodniach, nieokreślonego koloru marynarce, uchyla grzecznie kapelusza.

„Czy pani Chybowska?“

„Tak jest“.

„Mąż pani jest w niewoli“.

„Tak, tak“.

„Jestem jego kolegą, przynoszę pani serdeczne pozdrowienia...“

„Proszę, proszę do pokoju“. Pani przeprowadza gościa przez kuchenkę, korytarz do jadalni. Serce jej terkoce radosnym trelem. Za chwilę dowie się wszystkiego — jak wygląda, jak żyje, co myśli Bolek.

„Jestem Walendziak“ — przedstawia się przybysz.

„Niech pan mi wszystko powie... Kiedy go pan widział?“

„Przed trzema dniami“ — i uśmiech — „zwiąłem z obozu“ — i przytłumienie głosu.

Zaczyna się opowieść. Bolek — kochany chłop — koledzy zanim w ogieńby skoczyli. Całymi dniami wspomina dom, żonę, córeczkę, strasznie tęskni. Nie uciekał, bo biedak chorował i jeszcze słaby. Ale w ciągu tygodnia napewno się ruszy. „My tutaj — to znaczy ja i dwóch moich kolegów — organizujemy łatwiejszą drogę. Rozumie pani, nie można go narażać na takie niewygody, jakie sami musieliśmy przecierpieć. Najgorsze, że to wymaga trochę monety, trzeba pojechać i tu i tam — no i wygląda człek niekoniecznie w tych żołnierskich łachmanach“.

Szafa z męzowską garderobą otwiera się naościżej w ślad za sercem wzruszonej niewiasty. Gość certując się, nakłada czyściutką bieliznę, elegancki garnitur i czeka grzecznie, aż gospodyni pozbiera po siasiadach dla ułatwienia ucieczki sto złotych, niestety na amen oddawna nieobecnych w domu. Wyelegantowany gość wychodzi: „serdeczne, serdeczne dzięki“ i „niech pana Bóg prowadzi“.

Bolek wrócił jakoś niespodziewanie szybko — w kilka dni po miłej wizycie. O Walendziaku „takim sympatycznym“ nigdy w życiu nie słyszał. Hiena nie zjawiała się więcej, przeniosła się na pobliskie obfite żerowiska do innych domów, gdzie znajdowała pod dostatkiem „kolegów z niewoli“.

H i e n a e l e g a n c k a

Oto inna odmiana. Daleko żarłoczniejsza. Przyjmuje we własnej klatce. Gabinet. Biurko. Dywan. Sekretarka pod bokiem. Binokle na nosie. Obrzeżona złotem cygarniczka w zębach. Ustosunkowany jegomość, do którego przez długi i zawiły łańcuch znajomości dostała się wreszcie pani J.

„Kiedy syn pani został aresztowany?“

„Kiedy miała pani ostatnią wiadomość z Pawiaka?“

„Tak, tak. Hm, hm. Może się nam uda. Ale przepraszam, że w takiej chwili o tym z panią mówię... Rozumiem pani położenie... Na puszczenie maszyny w ruch musimy mieć ze 4000, na oswojenie tych kanałi... pani rozumie...“

Po tygodniu, po drugiej wizycie matka zbiega lekko ze schodów od ustosunkowanego pana: „kanalie“ połknęły haczyk, sprawa na dobrej drodze. Trzeba jeszcze postarać się o drugą czterotysięczną dawkę. Głupstwo! Sprzeda się jeszcze to i owo. Po tygodniu — ten sam proceder. Sprawa wygląda podobno jak najlepiej. Sprzeda się jeszcze coś innego. I już regularnie, jak na zabieg do lekarza, przychodzi matka co tydzień. Coraz jej lżej wbiegać i zbiegać ze schodów. Już sprzedane futro nie hamuje ruchu. Biega matczyisko w samym sweterku po lutowym mrozie.

Po dwóch miesiącach zbliża się termin, kiedy „będzie pani rozmawiała z synem, jak teraz ze mną“. Łzy szczęścia w oczach i zamęt w głowie. Na to ostateczne posunięcie trzeba od razu sygnąć „kanaliom“ dwadzieścia tysięcy. Matki potrafią zdobywać się na cuda. Zakreśliła pani J. czarodziejskim kołowrotkiem od znajomych przyjaciół, od przyjaciół znajomych...

I wreszcie. Wreszcie przychodzi krach. Jegomość w binoklach nie przyjmuje osobiście. Stan sprawy referuje zastępczyni-sekretarka.

„Proszę sobie wyobrazić, wszystko było gotowe — i naraz zmiana całej ekipy gestapowców, z którymi pertraktowaliśmy. Trzeba byłoby zacząć z nowymi od nowa...“

Wsiąkły, jakby je ziemia wchłonęła, pieniądze wytopione ze sprzedaży ubrań, książek, pamiątek; wsiąkły pożyczki życziwą ręką podane, wsiąkły łzy rozpaczne matki w puszysty dywan.

I wsiąkła krew syna rozstrzelanego w grupie trzydziestu pięciu wyprowadzonych z Pawiaka na egzekucję.

Hiena w binoklach żeruje dalej, wynajdując coraz to nowe zbolełe, ale pulsujące jeszcze nadzieją, serca matek, żon, ojców, sióstr, braci...

Hiena uliczna

Jest i taka. Przechadza się w jedwabnej chustce na głowie tam i z powrotem po niewielkim odcinku Marszałkowskiej od Siennej do Żórawiej. Wymalowana gęba i chód prostytutki. Kto ją wie — może i to jest jej „*nebenfached*“ w późniejszych godzinach. Ale teraz w południe wyszła na inne żerowisko.

Podczernione oczy ślizgają się po sylwetkach przechodniów. Zaczęły się w pewnej chwili o postać niewieścią, wypatrzyły ofiarę. Dlaczego tę nie inną? Intuicja. Intuicja hieny. I wprawa. Jakieś zgnębienie w twarzy, jakieś podejrzané wymizerowanie przechodzącej kobiety. Najpewniej uciekinierka z za murów ghett. Bezdźwięczny (prościej mówiąc spity) głos zatrzymuje idącą: „Pani pozwoli ze mną do komisariatu“. Nagłe zblednięcie zaczepionej, niezdecydowanie w ruchu, widoczny lęk dodaje hienie odwagi.

„Proszę za mną. Pani jest Żydówką“.

Trafiła celnie. I zaczyna się pożeranie ofiary. Jeżeli da zaraz na rękę tyle a tyle, sprawa zakończy się zaraz w pobliskiej bramie. Ofiara próbuje stawiać opór. Próbuje złuźnić chwyt brudnej łapy. Wówczas przesładowczyni w jedwabnej chustce na głowie ciągnie swój łup do komisariatu policji granatowej. Tutaj okup wolności jest daleko wyższy. Trzeba go złożyć jeszcze dwóm mundurowym panom, współmyśliwym ulicznej hieny, która w tej chwili odgrywa już tylko rolę

naganiaczki zwierzyny. Napadnięta — jeśli nawet może na miejscu zaspokoić apetyty szajki, musi jednak niezwłocznie przedsięwziąć bardzo kłopotliwe środki ostrożności. Wyprowadzić się z mieszkania, zatrzeć starannie ślady do swojego nowego legowiska. Jeśli tego nie uczyni — jedwabna chusteczka będzie ją nachodziła dopóty, aż wyczerpią się wszystkie środki, utrzymujące szantażystkę we względnie bezpiecznej postawie. W końcu również dla zatarcia śladów hiena przywlecze swego kochanka — konfidenta Gestapo, który dokończy porachunku z bezwartościową ofiarą: odda ją w ręce swych szefów, ci zaś jednym strzałem uwolnią ją od konieczności ciągłego mylenia pogoni, szukania środków na zaspokojenie apetytów hien, i rozmyślą na temat ras, nie mających prawa do życia.

Hieny leśne

Długi szlak między Warszawą a Tręblinką ożywiają od czasu do czasu bujnie rosnące lasy. Gdy więc pociąg wiozący Żydów z Warszawy na stracenie do Tręblinki zbliża się do pierwszych dużych skupień dębów, sosen, brzoź, zaczyna się wówczas zsynchronizowane widowisko. Kilka czy kilkanaście postaci ludzkich wyskakuje z pędzących wagonów, gwiżdżą, terkoczą kule karabinów niemieckich i odzywają się głosy hien leśnych. Ludzie wyskakujący z pociągu w pełnym jego biegu łamią ręce, nogi, kaleczą sobie twarze, lub wprost zabijają się na miejscu. Niektórym udaje się nieraz prawie bez szwanku dopaść zbawczego lasu. Kule niemieckie doganiają wielu uciekających, przyspieszając im zgon o parę zaledwie godzin : od lasów za Warszawą do Tręblinki jest sześćdziesiąt kilometrów.

I wówczas zaczyna się wycie hien :

„Stasiek — słyszysz, pociąg z Żydami idzie !“

„Lecim, prędzej !“

Hieny zbijają się w małe stadko i pędzą w stronę toru, w miejsce, gdzie przed chwilą gruchały karabiny. Obfite, różnorodne żerowisko mają przed sobą. Na przestrzeni kilkuset metrów wzdłuż toru leżą trupy i półtrupu tych, którzy nie mogli się oprzeć pokusie leśnej. Trupy można obdzierać natychmiast, ruszające się półtrupu trzeba przed tym uciszyć. Hieny mają ze sobą szpadle, noże. Uderzenie szpadłem po głowie, jeszcze lepiej w szyję uspakaja o tyle pełzające, drgające ciała, że można je bez przeszkód rozebrać. Nóż, łagodny pomocnik — rozcina sznurowadła przy obuwiu, które można w ten sposób szybciej ciągnąć, w ostateczności oswabadza palec spośród czterech innych ze stygnącej dłoni, gdy obrączka, czy pierścionek nie chce się przesunąć przez nabrzmiałe stawy.

Hieny leśne nie są specjalnie chciwe krwi. Polują tylko na odzież, pieniądze, zegarki, pierścionki. Gdy dopadną ofiary — obdzierają ją do samej niemal skóry. Półobnażone trupy i półżywe ciała mężczyzn i kobiet, niby różowo-sine plamy pleśni, rozpościerają się na rdzawo-żółtym podścielisku półnagich też jesiennych gałęzi drzew w zaciśniętym lesie.

Zdarzyło się, że jeden z półtrupów przemówił do hieny :

„Zaczekaj jeszcze, jutro zabierzesz sobie mój płaszcz. Tak zimno. Daj mi spokojnie umrzeć w płaszczu“.

Ale hiena nie chciała czekać. Nie miała żadnej pewności, że umierającego rannego nie dostrzegła już inna jej współtowarzyszka łowów. Powtóre, było rzeczywiście bardzo chłodno. Hiena też lubi ciepło, a czym się lepiej zagrzeje, niż „bimbrem“, uzyskanym ze sprzedaży płaszcza?

Hieny z łupem wracają do swych legowisk: ciepłych opalonych chat we wsi, oddalonej od pięknego, kuszącego lasu o niecały kilometr. Jeszcze dzisiaj, najdalej jutro pójdą znów na żer, nasłuchiwać będą, czy łoskotowi przechodzącego pociągu zawtórują pod lasem strzały.



Dwunastu szczęśliwcom udał się niebywały wyczyn sportowy: wyskoczyli szczęśliwie jeden po drugim, gdy już uchliły pierwsze i ostatnie strzały, gdy pociąg minął już las. Jakież nadwyrężenie kostki, zdrapanie łokcia, podbicie oczów nie liczy się zupełnie.

Pobiegli w kierunku odwrotnym do biegu pociągu, dopadli lasu, przewarowali w nim szczęśliwie do świtu! Nie zwęszył ich nikt. Oni za to sami zwęszyli szlachetność i odwagę w przechadzającej się po lesie kobiecie. „Nie wyda nas pani?“ „Przenigdy“. „Czy może nam pani przynieść coś do jedzenia?“ Poszła i wróciła z koszem prowiantów. Zadrgało coś w piersiach „sportowców“ wdzięcznością, otucha i wiarą. „Szczęśliwej drogi“.

Poszli na skraj lasu. Dojrzeli zabudowania gospodarskie na dalekim polu. Dwóch udało się do chaty na zwiady. Wrócili radośni: „Przyjmą nas do stodoły“.

Zanim za ostatnim z gromady zamknęły się wierzeje stodoły, gospodarz dobrze już zlustrował porządne płaszcze i garnitury „gości“. Po sto złotych wprawdzie wziął od głowy za nocleg, ale to tylko tak dla niepoznaki. „Za ryzyko“ — powiedziała hiena, szczerząc zęby w chytrym uśmiechu. Zamknęła wierzeje i pobiegła na posterunek żandarmerii. „Tak i tak, dwunastu ich mam, ale proszę, żebyście mi w nagrodę dali ubrania“. Żandarmi przyrzekli i słowa dotrzymali, a nawet przed egzekucją kazali się wszystkim dwunastu w stodole rozebrać, żeby chłop szkody nie miał i niepodziurawioną garderobę otrzymać.

Grób dwunastu znajduje się ni to pod lasem, ni to w polu tuż przy kartoflisku gospodarza, któremu zresztą nic to nie szkodzi. Hienę obchodzi tylko dwanaście nowych pięknych skór, które tak sprytnie sobie sprawiła.

Jest tych hienowatych odmian dziesiątki, a każda z kolei liczy setki okazów. Kluczą ścieżkami szantażu, wymuszania, zastraszają, grożą i łaszą się — jeśli potrzeba zajdzie, nie cofają się przed skakaniem do gardła ofiary. Jak upiory ohydne straszą na drogach, ulicach, zaczajają się w kawiarniach, pociągach, tramwajach, grasują po wsiach i miastach, dobierają się do mieszkań, do sekretnych kryjówek, węsząc wszędzie ofiary. Rzucają cień obmierzły na ponurą naszą rzeczywistość.

Ale jeszcze zanim błysnie jutrznia odrodzenia, szczerzą te duszące zmory z powierzchni kraju. Już zaczęła się walka z nimi. Nie ma

tygodnia, by po kilka przedstawicielek hieniego rodu nie zginęło sromotnie z karzącej ręki Polski Podziemnej.

POLOWANIA NIEMIECKIE

Łapanka, nalot, obleżenie, blokada. Właściwie są to synonimy, które oznaczają w Generalnej Gubernii jedno i to samo polowanie Niemców na Polaków. To bezprzykładne widowisko chrzcza potem ludzie — zależnie od fantazji poprostu — jednym z tych czterech mian. I niewiadomo właściwie dlaczego tak już w pamięci ludzkiej zostaje — „warszawska łapanka styczniowa, sierpniowa, wrześniowa“, „blokada Żoliborza, Saskiej Kępy“, „nalot na Wólkę“, czy „obleżenie Dąbrowicy“.

Wiadomo, że po niemiecku wszystko jest na wywrót. U Niemców wszystko to nazywa się „walką“ (pewno od słynnego „Mein Kampf“), a więc „walka z potajemnym handlem“, „walka z desantami“, „walka z bandytyzmem“, „walka ze zbrodnicznymi elementami“ i.t.p.

Zgodnie z pamięcią, która jest najważniejszą podstawą kroniki, notujemy tutaj kilka fragmentów.

Ł a p a n s k i W a r s z a w s k i e

We wgłębiach bram wzdłuż ulicy Wilczej stoją gromady ludzi. Jak gdyby ukryli się przed deszczem i przeczekują ulewę. Na ulicy pustka. Raz w raz ktoś wychyla głowę poza osłonę wnęki, bada czy już wyjść można. Ale nie wznosi wzroku do góry ku niebu. Niebo jest zresztą czyste, to nie przed nim ukryli się przechodnie w przyjaźnię otwartej bramie. Niebezpieczeństwo grozi na ziemi. Ściśle mówiąc, z pełnących po ziemi ciężarowych aut, które przystają na skrzyżowaniu Poznańskiej i Żórawiej. Łapanka.

Ludzie, wychylający się z bram, spostrzegli ją, czy wyczuli akurat o tyle sekund wcześniej, o ile spóźnili się ci, których zagarniają teraz żandarmi wzdłuż ulicy. Pani z koszykiem, pan z teczką, dziewczyna w kapelusiku, panna z odstönietą głową, chłopcy starsi i młodszy i znów stary jegomość, młoda kobieta — palta, futerka, czapki, chustki gramolą się przy brutalnej pomocy żandarmskich łap i kolb do „budy“ — ciężarówki. Napełniony w oka mgnieniu wóz toczy się już naprzód.

„Na Skaryszewską“, skąd wysła się młodzież na roboty do Prus, „na Pawiak“ — gdzie za złapanymi na ulicy zamykają się bramy więzienia, „w Aleje do Kryminalnej!“ — siedziska policji, „może na Szucha!“ — do rezydencji Gestapo — rodzą się domysły w bramach, skąd rozglądając się wciąż uważnie wypełniają przechodnie, którzy tym razem wymknęli się z przed rozwartej tuż przed nimi paszczy.

Jutro, pojutrze, czy za kilka dni okaże się, że każdy z domysłów miał rację istnienia: złapany łup Niemcy posegregują i każda z ulic — i Skaryszewska i Aleje Ujazdowskie i Aleja Szucha i Pawia otrzyma odpowiedni przydział ofiar. Zwłaszcza ta ostatnia szybko pokwituje ich odbiór. Niezadługo na listach straconych „przestępców“ znajdą się ich nazwiska.

* * *

Żeby już minąć wreszcie ten most! Myśl ta jednocy wszystkich bez wyjątku pasażerów tramwaju Nr. 27, który z osłoniętych obustronnie kamienicami Alej Jerolimskich wsuwa się na pustynny wiadukt do mostu Poniatowskiego. Jeśli tramwaj zostanie zatrzymany na moście, po obstawieniu oczywiście obu jego wylotów szpalerem żandarmów, wówczas pozostanie jeden kierunek ucieczki — w dół, do Wisły, poprzez żelazną balustradę do lodowatej wody. Kronika łapanek warszawskich notuje i takie wypadki. Ale tym razem tramwaj Nr. 27 mija szczęśliwie most i wyjeżdża na ul. Waszyngtona. Pasażerowie odetchnęli z ulgą; wielu odwróciło się od okien, niektórzy sięgnęli nawet do książki, do papierońcy.

Na Rondzie Waszyngtona wóz zatrzymuje się normalnie przy przystanku. Konduktor wyciąga rękę do linki, chce zadzwonić na odjazd... Tuż za nim wyrasta naraz olbrzymia postać w hełmie. Staje we drzwiach. Zamurówuje sobą cały otwór. Stoi, niby śmierć na rozkraczonych nogach — i patrzy znieruchomiałym okiem na wszystkich naraz. Ogarnia wszystkich. I wszystko nieruchomieje pod tym ciężkim spojrzeniem. I wyciągnięta ręka konduktora i zapalona zapałka w dłoni pana siedzącego na środkowej ławce i książka na kolanach jego sąsiadki. Zamarło też w piersiach ludzi kilkadziesiąt oddechów, przed chwilą, po minięciu mostu, odrobinkę lżejszych... W tym martwym spojrzeniu wszystko widzących z pod hełma oczu ważą się losy kilkudziesięciu pasażerów natłoczonego tramwaju.

„Alle raus“ — mówi głośno widmo we drzwiach. Głos jego zdaje się wychodzić nie z żywych ust, ale z automatu. Ludzie, jak stado ptaków zahypnotyzowanych wzrokiem gada, nie poruszają się z miejsca. Wówczas widmo wznosi rękę w szarozielonym walcu mundurowego rękawa, jak gdyby w nim tkwił kawał drewna, a nie poruszany mięśnieniem żywy członek — wskazuje wyraźnie: ten ta — „aussteigen“, tutaj — „alle vier aussteigen“. Ludzie powstają jak somnambulicy; „aussteigen, aussteigen“ — ręka-drewno robi jeszcze kilkanaście ruchów. Po każdym poruszeniu — znaku ktoś kolejno wstaje i posuwa się do drzwi. Ciszę wypełnia tylko maszynowy głos. Ludzie posuwają się jak cienie, Uśpione, wpatrzone w śmierć cienie.

Przez jedną chwilę wzrok żandarma usiłuje skrzyżować się ze wzrokiem siedzącej nawprost drzwi kobiety. Mgła — niby roztargnienie czy obojętność — sączy się z jej oczu z tak upartym spokojem, że żandarm musi poniechać pojedynku. Wzrok jego kładzie się dalej ciężko na ofiarach siedzących obok, przed i za nią.

Olbrzym w hełmie wyprowadza niemal wszystkich. W tramwaju zostają cztery osoby. Czemu te nie inne? Właściwej odpowiedzi nie potrafiłoby dać ani widmo, ani jego ofiary.

I teraz dopiero widać! Przy samym niemal chodniku na skraju jezdni stoją dwie budy. Do nich właśnie przeładowuje się szybko pasażerów z tramwaju Nr. 27. Tramwaj toczy się dalej w stronę Grochowa. Pozostali w wozie zapytują się nawzajem: „Dlaczego pana zostawili?“ „W jaki sposób ocalała pani?“ Nie wiadomo. Przypadek. Taki sam jak ten, że zabrano tamtych. Prostu widzimisie upiora w hełmie.

Na krańcowym przystanku gromada oczekujących na tramwaj dopytuje „ocalałych“ „gdzie brali?“, „czy można jechać do śródmieścia?“, „nie, nie ruszajcie się, ludzie“. „Z naszego tramwaju brali na Rondzie, ale przecież po całym mieście łapią“. Takich punktów

jak Rondo przy ul. Washingtona naliczyć można było setki w tych dniach styczniowych w Warszawie. To znaczy w setkach miejsc stawały kolejno niemieckie budy ciężarowe i ładowały do swego wnętrza przygodnie złapanych przechodniów. Setki ognisk łapanek przesuwają się z ulicy na ulicę, z przystanku na przystanek, od domu do domu.

Pod koniec polowania, w trzecim jego dniu Warszawa przeobraża się dziwnie. Ulice jej formalnie zielenieją — tyle mundurów uwija się po nich ; poza tym zaś nazwać ją można miastem pigmiejów dla mnóstwa drobnych postaci, chodzących gromadką i w pojedynkę po opustoszałej stolicy. Gdy małe istoty dojrzą gdzie większą od siebie postać, nie odzianą w mundur, zbliżają się do niej i zaczynają szeptać, nie zaprzestając marszu : „na rogu Niemcewicza i Asnyka blokada, niech pan zawróci“, albo „Grójecka przy kościele obstawiona“.

Samorządnie powstały oddział dzieci patroluje osaczoną Warszawę. Mali obrońcy zagrożonych dorosłych ludzi przemysłnie posługują się swą tarczą naiwnej dziecięcości. I za rozumną radą ruchliwej warty, przechodnie kryją się znów do mieszkań.

Nasilenie łapanekowe największy stopień osiągnęło na ulicach. Ale dobierają się żandarmi i do domów, zwłaszcza do większych bloków. Osaczają kamienice Żoliborza, Czerniakowa, Woli, Saskiej Kępy.

Z domu jednej z przecznic ul. Grochowskiej wybiega kobieta w samej sukni, chociaż śnieg bielą przyproszył wszystko dokoła. „Zabrali mi męża ! Z całej kamienicy zabierają ludzi ! A mój przecież ma kartę pracy, pracuje w Dzwonkowej“. „Niech pani jedzie zaraz, może się uda pani dowiedzieć, gdzie jest...“

Ale dokąd ? Znów pytanie, czy kołatać w Al. Szucha, czy na Pawia-ku, czy na Skaryszewskiej ? Każda łapanka ma inny pretekst i inny cel.

Kroniki Generalnej Gubernii odpowiedzieć już mogą na to pytanie rozpaczne kobiety, która nie wiedziała, gdzie szukać męża. Cały transport ludzi, upolowanych w dniach 15, 16, 17 stycznia 1943 r. z tramwajów, mieszkań, ulic, kawiarni warszawskich załadowano do pociągów, idących w stronę Lublina. Były to dni najintensywniejszego załadunku obozu w Majdanku.

* * *

Wielkie skupienia ludzkie na targowiskach są ulubionym miejscem polowań niemieckich. Bo to pod wieloma względami zapewnia znakomitą zdobycz : pełne towarów stragany, którymi nie gardzą łowcy niewolników i tysiące zaafetowanych najtańszym kupnem i najdroższą sprzedażą ludzi. A poza tym jeszcze pociąga notorycznych łgarzy łatwość zastosowania idiotycznego pretekstu — „walka z nielegalnym handlem“.

Obłężenie Kercelaka, o którym będzie mowa, miało miejsce 13 maja 1942 r. Nie było ono pierwszą dla popularnego targowiska, gdzie najtaniej zaopatrywać się mogła stolica i jej okoliczne miejscowości, gdyż kilkakrotnie już Kercelak był terenem łowów. Po tym wiosennym obłężeniu rozgromiony bazar przestał istnieć.

Dnia tego panował tam zwykły ruch, czyli tłoczyli się ludzie dokoła budek i straganów, zaopatrzonych w produkty żywnościowe, ubrania, naczynia, sznury, wyroby drewniane, żelazne, gliniane. Bo chociaż

w „wolnym handlu“ bez kartek kupić legalnie można chyba tylko wykałaczki, proszek do zębów i może musztardę — to jednak dzięki przemysłowości polskiej na rynkach niczego nie brak.

Dudnienie głosów sprzedawców, zachwalających towary i ćwierkanie targujących się nabywców zlewa się w żywy rozgwar w tym miejscu, pulsującym nieustępliwą wolą przetrwania. W pewnej chwili gwar targowiska wzmacnia się. Wzmacnia go tupot maszerujących oddziałów wojska i rytmiczny, bezduszny, choć doskonale poprawny śpiew żołnierzy. Kilka oddziałów spokojnie, równo zbliża się przecznicami ulic, biegnących do Kercelaka. Wesołe „Olala, olala“ refrenu piosenki lata niby beztroski ptak po całym wielkim placu.

I naraz śpiewające szeregi milkną, rozsypują się w tyralierkę i otaczają zwartym kordonem natłoczony rynek. Zamykają dostęp na Ogrodową, Leszno, Żytnią. Wąskie przejścia samego targowiska wypełniają się również figurami w mundurach. Ludzie ostrożniejsi, czujniejsi wszczynają alarm: „łapanka!“, ale inni, skutecznie zasugerowani figlarnym „olala“, uspokajają: „to ćwiczenia“. Za chwilę wszystko staje się zrozumiałe. Nad placem rozbrzmiewa potężny głos, zdający się posiłkować niezliczonymi własnymi echami, głos ulicznej „szczekaczki“. Ten wyjaśnia sytuację. „Publiczność ma wychodzić w stronę ulicy Ogrodowej. Przy straganach niechaj pozostaną tylko właściciele. Odbędzie się kontrola“.

Udał się figiel z wesołym śpiewem i spokojnym marszem. Tysiące ludzi znalazły się w pułapce. Towary skonfiskowane ze sklepów, budek, straganów ładuje już wojsko na wielkie ciężarówki. Rabunek idzie na całego. A kupujący, przechodnie spędzeni na do przesmyka ulicy Ogrodowej. Tutaj przy rewizji następuje przede wszystkim konfiskata pieniędzy. Skąd może mieć Polak większe sumy? Napewno z rabunku. Złodziej lub bandyta — i gotówka w całości przenosi się do kieszeni myśliwych. Sprawdzanie dokumentów: zaświadczenie pracy z „*arbeitsamtu*“ jest nawet honorowane, ale któż je posiada z pośród przybyłych po zakupy ze wsi chłopów, czy kobiet, których jedynym zajęciem jest praca nad utrzymaniem jakiejś takiej sprawności zagrożonego ogniska domowego. Znikoma garstka odzyskuje wolność. Reszta — po uprzednim ograbieniu, dostaje się częściowo na Skaryszewską, częściowo zaś, nie przechodząc nawet przedwstępnego badania lekarskiego, załadowana do pociągów wędruje od razu do Niemiec, żądnych wciąż rąk polskiego niewolnika.

Nalot Pod Wyszkowem

Pociąg ostrołęcki dnia tego zdązał jak zwykle oblepiony gęsto ludźmi. Puste worki, zwinięte elegancko w rulony, próżne koszyki wskazują jego kierunek — idzie on z Warszawy, a ludzie wędrują po „towar“, czyli po produkty żywnościowe na dalszą prowincję. Przed samym mostem wyszkowskim, gdzie nie ma ani stacji, ani sygnału, pociąg staje. Dziwne. Cóż to się stać mogło? Przecież nie ma co bać się wizyty „*bahnschutzw*“ czy żandarmów, bo towar jeszcze daleko za lasem, za mostem. A jednak już są, jednak po coś przyszli. Zielone sylwetki otaczają pociąg. „Wszyscy wysiadać!“

Zaczyna się jakaś dziwna gra z podróżnymi. Szybka, błyskawicznie szybka. Mniej więcej co dziesiąty pasażer przypada żandarmom do

gustu. Wyciągają go ze stojącej już pod nasypem kolejowym gromady i odprowadzają na bok. Zabawa trwa krótko. Pominieci patrzą za „wybranymi“ w tajemniczej grze ludźmi, prowadzonymi na pobliską zieloną łąkę. Pociąg dyszy coraz głośniejszemu oddala się coraz bardziej. Nie dobiegną go odgłosy salw karabinów, które układają sześćdziesiąt ciał na miękkim zielonym posłaniu łączki. Rulony pustych worków szmuglerskich leżą w pobliżu ich właścicieli — obywateli Targówka, Kamionka, Woli, Pelcowizny...

Ekipa, która dokonała nalotu na pociąg wyszkowski, nie była zbyt liczna. Przynajmniej za skąpa, aby naraz wykończyć aż sześćdziesiąt żyć ludzkich. Zresztą musiała też myśleć o niefatygującym i szybkim uprzątnięciu sześćdziesięciu krwawych pamiątek.

Wszystko odbywało się szybko i sprawnie. Wedle dziesiątego klucza. Dziesięciu skazańcom kazano wykopać dziesięć grobów dla dziesięciu współtowarzyszy, których ścinało z karabinów dziesięciu żandarmerów. Potem pierwszych dziesięciu grabarzy przemieniało się w dziesięciogłowy cel dla kul dziesięcioosobowego szpaleru żandarmerów. Dziesięciu następnych skazańców brać się musiało za szpadle, aby z kolei paść do dziesięciu dołów, wykopanych przez następnych grabarzy. Tylko dla ostatniego dziesiątka, oczywiście, zabrakło rąk niedawnych współtowarzyszy podróży — groby dla nich wykopali chłopię, spędzeni na miejsce kaźni ze wsi leżącej za zieloną łąką.

Tak walczy się w Generalnej Gubernii z desantami, jak głosił niemiecki oficjalny raport służbowy, który w ten sposób nadał przygodnie wyłapanym z pociągu handlarzom warszawskim godność ludzi, spadających z nieba.

Nalot na Sadło

Do stacji Sadło zbliża się pociąg idący w stronę Warszawy. Obładowany jest jak zwykle do ostateczności. Wewnątrz wagonów ścisk tak straszliwy, że zasłabnięcie podróżnego grozi śmiercią. Nie sposób, by się przecisnął do okna dla zaczerpnięcia powietrza. Prawdziwą udręką jest podróżowanie na niewielkim nawet odcinku, ale udręka głodu jest potężniejsza. Dlatego to pociągami wędrują tłumy, wiozące kupioną na wsi żywność. St. Sadło stanowi dość niebezpieczny punkt na szmuglerskim szlaku: często wpadają tutaj „czarni“ sami lub z tajniakami i konfiskują komu się da wiezione towary. Pociąg zwalnia biegu i wtacza się na peron stacyjny. I jednocześnie: jak z pod ziemi wyskakuje mrowie „czarnych“ i oddział wojska. Po boku pętają się lisio-wilcze figury tajniaków. Ci nie posługują się żadną bronią, gołymi łapami obmacują worki, ani nie uciekają się też do obecnej mowy — klną i wrzeszczą czysto po polsku: to „swoi“ przy robocie. Otoczono pociąg z obu stron. Takiego „nalotu“ w tych stronach jeszcze nie było. Worki, toboły, walizy, paczki i zawiniątka, rzucone na kupę piętrzą się wysoko na peronie stacyjnym. Za chwilę przerzucone do ciężarowych aut wędrują na posterunek żandarmerii, gdzie dokona się podziału łupów. Podróżnych zaś zagarnia się szturchańcami kolb do budynku szkolnego. „Walka z potajemnym handlem“ przybrała dzisiaj groźniejsze oblicze. Skonfiskowano nie tylko towar, ale i ludzi. Wygarnięty z pociągu, stłoczony w sali szkolnej tłum mężczyzn i kobiet rozgląda się gorączkowo za możliwością ratunku. Ten

przelicza wyciągniętą z kieszeni gotówkę — może uda mu się jakoś wykupić. Młoda kobieta w kącie z pasją dusi, naciska obnażoną pierś, usiłuje wycisnąć z niej parę kropel mleka, jako dowód, że karmi dziecko, to ich może wzruszy; naprawdę zostawiła w domu niemowlę pod opieką męża, ale niewiele zdoła ono użyć z jałowej już prawie piersi matki, wędrującej po świecie „za handlem“.

Tymczasem w sali klasy IIA zaczyna się urzędowanie komisji lekarskiej. Mało komu udaje się przedrzeć przez jej sito. Wszystkie niemal ręce zdolne są do pracy. Oczywiście na niemieckich polach i przy niemieckich warsztatach. Pociąg, opróżniony z ludzi, którzy do tej chwili byli najzwyczajniejszymi podróżnymi, dostarczy na Skaryszewską transportu nowych niewolników na roboty do Niemiec.

Na małą chwilę lekarz musi przerwać zajęcie. Zrobiło się zamieszanie. Huknął strzał tak bliski, jak gdyby kula utkwiała w stropie natłoczonej sali. Ale w istocie padła nieco dalej. Nie przekroczyła terytorium szkoły. Walnęła w parkan szkolnego ogródka, strzepując wdrapującą się po nim postać ludzką. To usiłował zbiec jakiś młody chłopak. Gonił go w pierwszej sekundzie głos żandarma i zaraz w drugiej dopędził głos inny: trzask karabinu. Ułożono sztywne ciało zbiega na dziedzińcu szkolnym. Ludziom zaś w sali kazano zbliżyć się do okien.

„Tak będzie z każdym, kto będzie próbował uciekać“ — huknął żandarm aż zabrzęczały szyby.

Więcej ucieczek z tego transportu kronika nie notuje.

* * *

Nie masz miejsca bezpiecznego w całym gnębnym kraju, gdzie możnaby skutecznie ukryć się przed rozmyślnie czy po omacku sięgającą łapą okupanta. Ani w mieście, ani na wsi nie zaznasz chwil wolnych od trwogi. Nie gwarantuje bezpieczeństwa ani dach własnego domostwa, ani rozgwar kawiarni, ani ciasnota pociągu, ani zacisze pól, łąk i lasów. W każdej chwili dniem czy nocą w rozmaitych miejscach i okolicznościach każdy stracić może wolność — i w ślad za nią — jakże szybko i bezapelacyjnie życie.

ŻYCIE TOWARZYSKIE W STOLICY

„Tylko świny siedzą w kinie“ — od czterech lat żaden szanujący się Polak nie ogląda przybytku X-ej muzy. W teatrach, a raczej teatrzykach warszawskich, hasa szpetnie podkasana jej starsza siostrzyca, szczerząca się z przyzwolenia i za poparciem władz okupacyjnych w beczelnie głupawym uśmiechu.

A przecież nawet w tych straszliwych czasach nie sposób żyć bez narkotyku zbiorowości, bez żadnej rozrywki. Ludzie garną się więc do siebie, znajdują ulgę w t.zw. życiu towarzyskim. Trudno wprawdzie urwać z krótkiego i ogromnie kłopotliwego dnia chociażby dwie godziny na pogawędkę z przyjaciółmi, bo wnet zapadnie kłapa policyjnej godziny: polska Warszawa od 8-ej wieczorem musi siedzieć w domu.

Mroczniejsze szary listopadowy dzień. Właśnie państwo A, idą w odwiedziny do swych przyjaciół B. Dostali się szczęśliwie do tramwaju, choć zatłoczony niemilosiernie. Jadą z placu Narutowicza na róg Śniadeckich i Marszałkowskiej. Wehikuł skrzypi, jęczy. Dawne

przedwojenne cacko przemieniło się w rozklekotane pudło, o dziurawych bokach, gdyż nawet szyby gdzieś tej jesieni z tramwajów warszawskich poginęły. Pani A. straciła w tłoku magła tramwajowego już dwa guziki przy płaszczu, chce właśnie prosić współtowarzyszy jazdy o przepuszczenie jej z pomostu do środka wozu, gdy naraz czuje, że za „Saperem“ przy Al. Niepodległości tramwaj sunie naprzód jakoś mniej chyżo, jak gdyby niechętnie; pasażerowie wychylają się przez otwory nieobecnych okien. Jakiś prąd niepokoju przepływa przez całą długość wozu. Konduktor szepcze cichutko: „Przy Lwowskiej niespokojnie. Stoją budy“. Napewno łapanka! Ludzie wyskakują z leniwie sunącego wozu. Państwo A. idą na przyjęcie dookoła drogą przez labirynt ogródków działkowych na Polu Mokotowskim, przez ulicę Oleandrów do Marszałkowskiej, gdzie napotykają spokojniejące rozlewisko fali ludzkiej, która napływa z przecznicy od ulicy Lwowskiej.

„Żandarmi legitymowali wszystkich, zabierano przeważnie mężczyzn. Załadowali dwie ciężarówki — poszły w stronę Al. Jerozolimskich“ — padają objaśnienia. Fala ludzka rozlewa się coraz ciszej, spokojniej. „Nalot“ — oddawna dobrze znane zjawisko, które zwłaszcza w ostatnich tygodniach przybrało na częstotliwości — narazie skończony. Nareszcie państwo A. pukają do drzwi przyjaciół; dzwonki nie działają — „z rozporządzenia władz“, które narobiły bigosu w elektrowni, zawiesiły od października swą działalność wraz z lampami elektrycznymi, kuchenkami i t.p. urządzeniami; dotąd ułatwiały one życie w najskromniejszych nawet domostwach stolicy.

„No — jesteście przecież! Tak baliśmy się o Was, bo na Lwowskiej...“

„Tak, ale przecież jesteście uważni!“

„Zośka też była uważna“ — wzdycha p. B. (Zośka, najstarsza córka, złapana w styczniu z tramwaju na Grochowie w łapance ulicznej, od dziesięciu miesięcy siedzi w obozie na Majdanku).

Gospodarz majstruje nieporadnie przy karbidówce. Lampa prycha, to wysuwa długi jeźor płomienia, to znów gaśnie, wybucha kaskadą wody, zostawiając cuchnącą smugę w powietrzu. Po chwili nerwowa lampa pozwala się okiełznać. W pokoju robi się jasno i przytulnie, zwłaszcza po zapuszczeniu czarnych papierowych zasłon zaciemniających na oknach.

„Kupiliście nowe story zaciemniające? — zauważa pani A. — czy warto? Ja tam zasłaniam okna byle czym, przecież wojna naprawdę skończy się na Nowy Rok“.

„No, jeśli Anglia będzie dalej stosowała swą nowoczesną broń „broń Boże za szybko“, jeszcze kilka „Nowych Roków“ spędzimy pod okupacją“.

Rozmowa towarzyska, jak przystoi w naszej epoce, zjeżdża na tory polityczne. Panie tymczasem, jak gdyby hołdując epoce babek, wyjmują starożytne robótki: skarpetki na drutach. Nie przędą wprawdzie wełny na kołowrotkach, chociaż i tym zajmują się podczas wojny miejskie panie, tylko wysnuwają ją prosto ze starego zniszczonego poważnie swetra. Panna Magda, młodsza córka p. B. rozłożyła cały warsztat na końcu stołu — uplecioną w cienkie warkocze słomę, z której szyje pantofle. Oczywiście na sprzedaż.

Towarzystwo czeka jeszcze na panią C., która przed wojną żyła z dziennikarskiego pióra, oraz na syna gospodarza osiemnastoletniego Jurka. Matka po każdym okrażeniu skarpetki błyszczącymi

szpikulcami drutów, wysuwa się cichutko do sąsiedniego pokoju, gdzie stoi telefon — i używa coraz to innej kombinacji pięciu cyfr.

„Czy nie było u Was Jurka?”

„O której wyszedł od Was Jurek?”

„Czy Jurek miał być u Ciebie, Zygmsiu?”

Łapanka na Lwowskiej lekką falą niepokoju wpływa do piersi matki. Pukanie do drzwi. To pani C. — clou wieczoru zarówno dla swych ciasteczek, które wnosi jako udział grzeczności do przyjęcia, jak i dla „bibuły”, która siłą inercji przykleja się stale do dziennikarskiej egzystencji.

Pani domu przynosi wielki termos z herbatą:

„Zagrzałam to jeszcze o 6-ej rano na gazie — chyba nie ostygła”.

„U nas też kiepsko z gazem; żeby ugotować śniadanie, wstaję o drugiej albo trzeciej w nocy — i też nalewam do termosu” — przytakuje pani A.

„Ogniska rodzinne”, kuchenki gazowe w Warszawie, płoną jaką taką mocą. W ciągu dnia mikroskopijne płomyki palników wyglądają jak nafosforyzowane łebki szpilek. A węgiel? Węgiel jest tak drogi, że zaszczyt palenia przysługiwać mu będzie dopiero podczas prawdziwych mrozów. 1.200 złotych tona!

W pokoju powietrze nieco zbyt orzeźwiające. Oczy gości i gospodarzy pieczą bańkę termosu i zastawiony stół. „Chleba naszego kartkowego”, pieczonego z bliżej nieznanych mąk (prócz jednej — drzewnej) nakroiła gospodyni cały bochenek. Tego specjału istotnie nie brak ostatnio. Racje „lipy” (lipowa mąka drzewna) podnieśli Niemcy ostatnio do 2-ch kg. tygodniowo na osobę. Marmelada też kartkowa, ale uszlachetniona owocową domieszką domową, sławi barwą i zapachem polskie pola buraczane. Piękny pasztet o okazałych wymiarach znakomicie symuluje spowinowacenie z zającem i świnia.

„Trzy czwarte kg. fasoli, dużo jarzynek i naprawdę tylko dwa deka słoniny” — odsłania szeptem sekret powstania pasztetu pani B. swej przyjaciółce.

Subtelne pastylki niekoniecznie słodkiej dulcyny ułożyły się w piękny wzór na kryształowym, ocalonym jeszcze przy wyprzedzaży rodzinnych precjozów, spodeczku. Na środku stołu królują żywicielki pani C. i całej jej rodziny — kunsztownie wykrojone ciasteczka.

„Te ciasteczka — komplementuje gospodarz — przypominają zupełnie pani feljetony: małe i pikantne”.

„Że małe, to darujcie, kochani, ale czy wiecie, ile kosztuje cukier, mąka, jaja?”

Zwrot ten skierowuje rozmowę na najbardziej utarte szlaki rozmów w czasie wojny: co ile kosztuje. „Słonina już 240 zł. A mleko — wstrętne, odtuszczone doszczętnie lura — 14 zł. litr!”

„Polska będzie musiała zacząć odbudowę chyba od sanatoriów i szpitali”.

„Czy wiecie państwo, że gruzlica u nas — mówił mi jeden gość z Ubezpieczalni — wzrosła więcej niż trzynastokrotnie. Zapadają na nią teraz całe rodziny”.

Pan A. — pragnąc przyspieszyć rozpoczęcie libacji — sprytnie wraca do tematu ciastkowego.

„Rzeczywiście ciasteczka pani C. przypominają jej feljetony:

patrzcie — każde jest z pointą“ — i wskazuje w liliputkach wielkie migdały.

„A — to już wyłącznie zasługa naszych przyjaciół na emigracji. Gdyby nie te portugalskie rodzynekowo-figowo-migdałowe przesyłki nie mogłabym rozpocząć mego piekarskiego proceduru“.

„Och, nie chciałbym być na emigracji! Jak oni tam muszą tęsknić za krajem!“

„Potęsknią i wrócą cali i zdrowi, a my? Niedługo diabli, to jest Niemcy nas zniszczą do końca...“

„Tak, ale cobym dała, żeby chociaż przez godzinę czuć się wolnym obywatelem!... Bodajby nawet nie własnego, ale gościnnego, obcego kraju!... Być „wolnym od trwogi“, jak powiada Roosevelt“.

„Ja tam jestem szczęśliwa, że wypadło mi dzielić losy najgorsze, że jestem — kto wie — może twórczym ogniwem w ogólnej martyrologii — odzywa się cichutko panna Magda — bo wydaje mi się, że po każdej wiadomości od Zośki z Majdanka, po każdej łapance, po każdej masakrze w Warszawie, Łomży, czy Lubelszczyźnie — czuję się coraz mocniejsza, coraz zawziętsza... i kiedy przyjdzie chwila, ja naprawdę będę umiała i burzyć i budować!“

„Ale co nowego? — Niech nam Pani przeczyta komunikaty“ — zwraca się gospodarz do pani C.

„Ciastkarka“ wyciąga z torebki szeleszczące zwitki komunikatów, grube rulony agencji, zeszyty „Biuletynów“ i dziesiątki innych podziemnych pism.

„Cały arsenał redakcyjny w torebce“ — śmieje się Magda, a pani C. zaczyna czytać półgłosem.

... „V-ta armia odcięła odwrót wojsk niemieckich w rejonie...“

... „fortece amerykańskie zniosły z powierzchni Hannover...“

... „na linii Kijów-Żytomierz dalsze sukcesy wojsk czerwonych...“

Pani B. przemyka cichcem do telefonu.

„Czy Jurek...“ — i smutna wraca do stołu.

Rozmowa znów weksluje na czystą politykę. Mówią o ewentualnym przekroczeniu przez bolszewików granic Polski, o niebezpieczeństwie zagarniania ludności przez ustępujące wojska niemieckie, krzepi się serca, że w takiej chwili wystąpią już może nasze własne organy administracyjne, podziwia się wytrwałość Aliantów w proskowaniu Niemiec.

„A co pisze brat Pani z Oflagu? Czy aby tylko obozy nie są narażone na bombardowania?“

Dokoła stołu zaczynają krążyć imiona nieobecnych: brata pani A., którego pożera depresja bezczynności od czterech lat w Oflagu na południu Saksonii, Zośki, która brawurowo przetrzymała tyfus w Majdanku, jej narzeczonego, siedzącego od jesieni 1941 r. w Oświęcimiu. Dziesiątki straszliwych losów i tragiczne ich finały nanizują siedzących przy stole na nić zwykłej pogawędki.

„Słyszeliście — pani D. nie przyjęto już paczki na Pawiaku. Widocznie męża jej wywieźli do obozu“.

„Widziałem się wczoraj z matką pana E. Jest znów w żałobie. Nie pytałam już o nic. To trzeci syn. Ostatni“ — i na pytające spojrzenia zebranych — „tak — też w Oświęcimiu“.

„Przyjeżdżają do nas F-owie. Właśnie, właśnie, ci z Lubelskiego. Teraz mieli znów trzeci napad bandycki. Zabrali im ubrania i pościel i nawet cały inwentarz. Rzucają gospodarkę — dali za wygraną“.

„Dobrze, że jeszcze uszli sami cało, pamiętacie u G-ich skończył się napad przecież śmiertelnym postrzeleniem ojca“.

„Co tam mówić o prowincji, przecież i u nas w Warszawie nie brak tego dobrego“.

Codziennie porcje „plotek i ploteczek“ towarzyskich, brzmiających niby urywki najstraszliwszych bajek, o znajomych i przyjaciółach, przerywa gwałtowne pukanie do drzwi. Nareszcie Jurek.

„Jureczku, herbaty?“ — radosny głos matki — wrócił, nie złapali — milknie na widok zgnębionej twarzy chłopaka.

„Nie, dziękuję...“

„Czemu tak długo?“

„Na mostach było niedobrze. Zatrzymywali tramwaje. Zabrali sporo ludzi. Przeczekałem i przyszedłem z Pragi pieszo. A teraz... teraz — naklejają nowe listy rozstrzelanych. Już ciemno, zapomniałem latarki. Nic prawie nie mogłem odczytać. Ale znalazłem Wieśka... szesnasty na liście...“

„Wczoraj jeszcze był na liście zakładników“ — szepce Magda.

„Ach dwa dni tylko opuścili, przedwczoraj przecież dopiero zginęło dziewięćdziesięciu ludzi...“

Część zebranego towarzystwa zrywa się od stołu. „Chodźmy na dół!“ Zbiegają z Jurkiem na czele przez czarną czelusć nieoświetlonej bramy na ciemną ulicę do najbliższego słupa ogłoszeniowego przy Pl. Zbawiciela. Ogniki kieszonkowych latarek pełzają po mokrej jeszcze, świeżo naklejonej czerwonej płachcie obwieszczenia. Pierwszy, drugi, trzeci... stu dwudziestu rozstrzelanych. Urodzony w r. 1919, 1920, 1925! i urodzeni w odsuniętych nieco wstecz od XX wieku latach, 88, 90... starzy, młodzi!

Pierwszy, drugi, trzeci... i stopięćdziesiąty — nowi zakładnicy, którzy podzieli los pierwszej partii, gdy zaledwie zdąży się odwrócić kilka kartek kalendarza.

Bo napewno niezadługo zostaną straceni, a nowe ofiary — „zakładnicy“ — czekać będą za murami Pawiaka na stąpającą już za nimi śmierć. Bo napewno gdzieś tam zostanie zabity czy zraniony jakiś Niemiec, czy poprostu łobuz — bandyta. Już tam okupant nie będzie się wysilał na szukanie pretekstu. Nic nie powstrzyma puszczanej w ruch maszyny, mającej niszczyć naród polski...

Na ulicy głucho, ciemno. Tylko pod pękatym słupem gromadka szepczących ludzi zaświeciła lampki latarek pod straszną zbiorową klepsydrą.

Towarzystwo wraca na górę.

„Jureczku — zjedz cośkolwiek i weź się od razu do odrabiania lekcji“ — próbuje matka odwrócić myśli chłopca od potwornych nowin.

„Będę bomby robił, a nie uczył się! — wybucha Jurek. — Nie mogę żyć, kiedy oni giną!“

Herbata stygnie w odkorkowanym samogrzeju — termosie, małe ciasteczka z portugalską pointą zostają nietknięte na stole.

Wskazówki stanęły pod ostrym kątem, przypominającym, że za pół godziny nadejdzie zakazana chwila. Goście żegnają gospodarzy.

„Jur — nakazuje ojciec — a wyrzyj do bramy czy nie ma tych...“

Od kilku dni w bramach wielu domów grasują łapacze w cywilnych

ubraniach. Rewidują wchodzących i wychodzących i często gęsto, chociaż nic podejrzanego nie znajdują, „zapraszają” ze sobą.

Jurek wraca po chwili: droga wolna.

„Bądźcie ostrożni — i koniecznie zadzwoncie czyście szczęśliwie doszli” — padają ostatnie słowa pożegnalne, które wrosły już w nową tradycję okupacyjną. „Bądźcie ostrożni”, bo przecież przejście czy przejechanie dwukilometrowej drogi po dżungli warszawskiej wymaga czujności, przytomności umysłu; grozi w każdej godzinie dnia czy wieczoru śmiercią, utratą wolności i — jak się ostatnio zdarzać zaczęło — utratą płaszcza, portfelu, zegarka.

Państwo A. zanurzają się śmiało w bezgwiezdną i bezkسیężycową czarną noc, fałszowaną jedynie błyskami kieszonkowych latarek. Na przystanku tramwajowym olbrzymie zbiegowisko. Osiemnastka nie ukazuje się już od trzech kwadransów. Ale państwo A. mają szczęście: właśnie jak gdyby wiedząc, że z kapitału pół godziny, podczas której można jeszcze chodzić po ulicach, uszczknęli już siedem minut, wysuwa się jak zbawczy trójwózowa osiemnastka. Właściwie trudno odróżnić z ilu wozów składa się naprawdę, gdyż na stopniach, buforach, uczepieni ram okiennych pomostów, stoją ludzie wypełniając „przestrzeń międzywózową” do ostatka. Pan A. szybko się decyduje.

„Nie dostaniemy się, idziemy pieszo”.

„Już za dwadzieścia dwie osma”. Państwo A. rozpoczynają ostry marsz odwrotu. Za Politechniką na ul. 6-go Sierpnia w błysku własnej latarki dostrzegają cztery opuszczone, trzymane oburącz, lufy niemieckich „rozpylaczy”. Patrol. Legitymują przechodniów. Pan A. ze swym murowanym „*ausweisem*” — legitymacją magistracką — sunie wprost na nich, pani A. zaś zręcznie zatacza piękny majestatyczny łuk, poczem dodaje gazu. Ma przy sobie komunikaty, wzięte od pani C., do puszczenia w dalszy obieg. Po chwili łączy się na rogu Niepodległości z mężem, a w jeszcze następnej oboje słyszą głośny okrzyk „*Halt!*” i strzał. „To pewnie do tej drożki, która nas wyminęła”. „Jutro się dowiemy, czy to kogo zabili, czy też na postrach Niemcy strzelali!”. Nie ma czasu na dociekania. Zresztą to tak codzienne — wstyd powiedzieć — powszednie zjawisko: kogoś zatrzymali, do kogoś strzelali. Za dwanaście osma! To nie żarty. Mogą człowieka postrzelić, zabić, albo powlec na Pawiak. Trzeba biec! Państwo A. jak dwoje dzieci biorą się za ręce i rozpoczynają bieg przez ciemne wyludnione ulice Aleją Niepodległości, Filtrową do Pl. Narutowicza. Dudnienie wielkich aut ciężarowych znów na chwilę zwalnia ich bieg. Może znów łapanka. Ale to tylko sanitarne wozy wiozą rannych żołnierzy pod nocną osłoną do szpitala im. Piłsudskiego. Chlupoczą kroki biegnącej pary po kałużach, wybojach, trawnikach, błyska sieroco od czasu do czasu jej latarka. Nikogo, dosłownie nikogo w pobliżu. Tylko z za kościoła Św. Jakóba wysunął się jakiś cień, mignął latarką i zginął, niby roztopiony, w ciemni miasta. Za chwilę zdyszani przymusowi szybkobiegacze też miną kościół.

„Stać! Ręce do góry!” I po tych wyciągniętych do góry, a następnie odgiętych do tyłu rękach zsuwa się płaszcz pani A. Ręce zaś opryszków wyciągają z kieszeni pana A. zegarek o groźnie rozstawionych wskazówkach: za pięć osma.

„Gdzie masz portfel?” warczy złowrogi cień. „W domu” — odpowiada spokojnie napadnięty — „to tylko *Kenntkarte* — nie ruszajcie” — teraz jednak krzyczy, gdyż ujęte rękę bandyty na piersi, gdzie

leżą dokumenty : karta rozpoznawcza i legitymacja magistracka. To jest dopiero groźne : zostać bez papierów, to znaczy ryzykować codzienną głową przy każdym legitymowaniu przechodni, przy każdym zejściu na ulicę, przy rewizji w mieszkaniu.

Oprychy odeszli. „Pędźmy, już pewno ósma!“ — pan A. ciągnie żonę za rękaw wiotkiej sukni. „Poczekaj — szepce żona, — musimy znaleźć torebkę, rzuciłam ją gdzieś na jezdnię“. „Nie zabrali Ci?“ „Jakżeż mogłabym dopuścić, przecież tam są i dowody i gazetki. Niechby jeszcze z tego chcieli zrobić użytek“. „Zuch“ — woła pan A., ale i jego po chwili zaszczyca żona takim samym komplementem. Po trzykrotnym przejściu w poprzek jezdni pa nA. znajduje upacianą w błocie torebkę.

Dopadają wreszcie bramy opiekuńczej własnego domu na Sękocińskiej. Już zamknięta. Wystraszona dozorczyńca otwiera z ostrożnością. Już po ósmej — po ósmej nie przychodzą swoi. Gdy wsuwają się wreszcie na klatkę schodową, witają ich ostrożne skrzypnięcia drzwi na piętrach : wszyscy słyszeli walenie do bramy po ósmej, chcą się przekonać, czy aby nie Gestapo.

A w sieni już najzupełniej swojej na trzecim piętrze dochodzi przybyłych przeraźliwy w swej wytrwałości dzwonek telefonu.

„Czyżby Krzyśka tak mocno spała ? A może nie ma jej w domu“. Nogi uginają się pod panią A., tańczące ręce z trudem wyciągają wreszcie z otchłani przegródek ocalonej torebki klucze od mieszkania. Telefon zamilkł na chwilę, nabierając jak gdyby tchu i zaczyna na nowo serię alarmów. Pani A. pędzi do pokoju córki. Pusty. Dziewczyni nie ma. Więc do telefonu.

„Mamusieńku ! To ja. Tak się już bałam. Nikt się nie odzywa, a już po ósmej“.

„Dziecko ! To ja jestem ledwo żywa. Dlaczego nie wróciłaś ?“

„No wiesz, była bardzo brzydka pogoda na Brackiej“.

„Tak, tak, na Lwowskiej też padało“.

(Telefony mają podwójne uszy. Wobec tego obcego podsłuchującego lepiej być naiwnie głupim niż nieostrożnym).

„No, więc nocuję u Jadźki. Ale dlaczego wróciście tak późno ? Jak można tak lekceważyć...“

„Głupstwo. Napadli nas przy kościele. Zabrali tylko płaszcz i zegarek, ale dowody zostały. Tak, tak i mój i ojca. Dobranoc“.

Po tej rozmowie telefon raz jeszcze zostaje powołany do służby. Trzeba uspokoić przyjaciół.

„Już jesteście szczęśliwie w domu. Dobranoc“.

NOWE PAMIĄTKI STOLICY

Ulicami Warszawy płynie strumień śmierci równoległe do strumienia życia. Pierwszy żłobi sobie coraz większe łożysko, poszerza je z dnia na dzień i zda się zagrażać drugiemu. Jeśli strumień śmierci przetoczy swe krwawe fale do płynącego wciąż jeszcze wartko strumienia życia — stężeją oba w bezwładzie, w bezruchu. A wtenczas wróg ośmieli się już zupełnie bezkarnie i bezpiecznie deptać samo serce Polski.

Ale to nie nastąpi nigdy.

I dlatego jest jakiś dziwnie i wspaniale, boleśnie i kojąco zarazem

słyszeć, że odgłosy salw karabinów niemieckich, które dopiero co skosiły setki ofiar na ulicach miasta, ustępują miejsca turkotowi zwykłych kroków przechodniów. Przerażeniem i otuchą jednocześnie napawa świadomość, że można przejść w zapamiętaniu strasliwym obok kałuży świeżej krwi poległych braci, barwiącej płyty chodnika, i w kilka minut później kupować w sklepie kaszę czy słoninę.

Patos bohaterstwa i szarość codzienności ocierają się o siebie ustawicznie i splatają w kanon przetrwania, w nakaz życia.

Przyszły bowiem czasy, gdy bohaterem może lub musi być każdy: stojący nad mogiłą starzec, chłopiec czy dziewczyna u progu dojrzalości, niemowlę w kołysce; gdy waga wysiłku życia i ofiary śmierci wyrównała się ostatecznie.

Okaleczała od czterech lat, porysowana olbrzymimi bliznami rumowisk domów, sproszkowanych we wrześniu 1939 roku, stolica mnoży nowe pamiątki. Od ponurego października 1943 r. purpura na nowo spowija Warszawę. Na słupach, na murach, parkanach, czerwienieją ogromne arkusze obwieszczeń niemieckich z długimi spisami nazwisk osób, które pomordowano na mocy decyzji władz policyjnych. Odblask z tych krwawych klepsydr jak najdziwaczniejszy róż maluje poblaskie twarze przechodniów, odczytujących listy — straconych. Purpurowy odblask, który wytryska niby żywa krew z martwego papieru i promieniuje złowrogo wokół, zda się wyznaczać nowe ofiary. „Dzisiaj wy, jutro my — być może“. Skupionych pod obwieszczeniami żywych dzisiaj ludzi jutro zagarnąć może gęsta sieć okupanta, zastawiona w różnych miejscach, godzinach, okolicznościach.

Co dnia niemal krew męczeńska spływa chodnikami Warszawy, co dnia niemal jakiś mur w śródmieściu, na Woli, Pradze czy na innych krańcach miasta przesiąka żywą wilgotną purpurą.

W szkarłatem przesyconej stolicy mnożą się nowe pamiątki. Zjawiają się dzień po dniu inne. Niezadługo może osobliwością staną się miejsca, wolne od krwawych pieczęci...

Ulica Piusa, na której okupant dokonał pierwszej publicznej egzekucji w Warszawie, ul. Kopińska, Grójecka, Aleje Jerozolimskie, Ujazdowskie i Niepodległości, Krakowskie Przedmieście i Puławska, Solec i Nowy Świat... Nie sposób wymienić wszystkie miejsca męczeństwa stolicy.

Przechodniu! Jakże trudno poruszać ci się po ulicach rodzinnego miasta. Chcesz być skupiony i uroczysty, na każdym niemal kroku dotykasz stopami pamiątkowych płyt chodnika, co chwila mijasz mur, uświęcony krwią męczeńską. A jednocześnie musisz iść, wypatrując nie tylko pamiątek, ale i wroga, który cię w każdej chwili niespodzianie pochwyć może i, niewiele zwlekając, przyczołgać kulą do muru. Jak wprawny, odważny linoskoczek nauczyłeś się poruszać swobodnie po wąskiej granicy, dzielącej dwa najodmienniejsze światy: życia i śmierci. Bo każdy w Polsce — i najbardziej może w Warszawie — wie, że chodzi po cmentarzysku, na którym musi trwać życie.

* * *

Trzydziestu rozstrzelanych przy ul. Piusa w październiku 1943 r.

zapoczątkowało niekończącą się serię krwawych ofiar na ulicach Warszawy. Na Puławskiej padło w grudniu stu ludzi. Na Wierzbowej w styczniu następnego roku — sześćdziesięciu. Na Nowym Świecie niezadługo potem — dziewięćdziesięciu. Na Solcu w lutym — trzydziestu sześciu.

A na dziesiątkach ulic równoległych do nich czy poprzecznych i w dniach rozstawionych niedaleko od siebie — bliżej początku, środka czy końca każdego z tych miesięcy — zginęły gromady liczące dziesiątki i setki ofiar. W marcu Niemcy zwiększyli masakrę, skąpiąc jednocześnie papieru na ogłaszanie pełnych list z nazwiskami pomordowanych. Arkusze pokwitowań za zbrodnie niemieckie są coraz mniejsze, chociaż na coraz większe sumy. Na małych afiszach widnieje tylko ogólna liczba rozstrzelanych — stu pięćdziesięciu, dwustu. ... I coraz bledsze — nie szkarłatne, tylko lekko różowe, są te obwieszczenia, jak gdyby chciały wyjawić, że kwitują teraz mniejszą ilość przelanej krwi, choć utoczonej z tak wielu skazańców.

Bo ulicami Warszawy spływa tylko część męczeńskiej krwi: daleko więcej wypompowały szpryce lekarskie, kradnąc ją z żył skazanym na śmierć ofiarom przed wyprowadzeniem ich na miejsce stracenia. Setki litrów polskiej krwi krzepi żołnierzy niemieckich, przelewa ją do ich żył, syci ich ciała, przeznaczone do mordowania reszty ludzkości.

Haniebni utylizatorzy sięgają w swej zachłanności nawet po męczeńską, wzburzoną łękiem i nienawiścią krew.

Trudno uprzytomnić sobie z pamięci wszystkie czarne dni Warszawy. Ale wypisane są one na płytach murów, ułomnych od pamiętnego września, na ścianach martwych, okaleczających kamieniem straszliwymi znakami: okrągłymi zagłębieniami, które wydrążyły w tynku i cegle kule karabinów.

Różnie dają się zachować te świeże okrutne pamiątki, z których najstarsza liczy pół roku. W niektórych miejscach ciemnieją już miast wgłębień wypukłe plamy świeżego cementu, zamazujące odłupane miejsca w murze, przy którym stali skazańcy w ostatnich sekundach swego życia. To mordercy usiłują zatrzeć ślady zbrodni. Na wszystkich jednak murach męczeństwa obok tych zamaskowanych fałszywych znaków widnieją białe krzyże, które mimo wielokrotnych zamazywań, łapą żandarma dokonywanych, wskrzesza wciąż na długą czasów pamiątkę niewidzialna dłoń braterska. A pod murami lśnią w słońcu, mokną na deszczu, schną w upalne dni, warzą się na mrozie — kwiaty.

Na ceglach, podziobanych gęsto kulami w murze na Nowym Świecie pomiędzy Krakowskim Przedmieściem a Ordynacką, przeświecają kredową bladością litery „Chwała“, którymi uczciła Warszawa męczenników.

Tuż za rogiem Al. Jerozolimskich w pobliżu Marszałkowskiej ściana ślepej i głuchej, skoszonej bombami kamienicy, o zamurowanych otworach okiennych — miejsce kaźni marcowej — uświęcona jest godłem „Polski Walczącej“. Nieprzerwany tupot przechodniów, łoskot tramwajów, których linie krzyżują się pod prostym kątem na tym rogu śródmieścia, sprawia, że tutaj, jak w wielu innych ruchliwych punktach stolicy, na ułamek jeno chwili można się skupić, poczuć przyływ fali okrutnego żalu i okrutnej nienawiści.

Inaczej jest na Solcu. U samych jego początków, tuż przy Wiśle,

dokąd dochodzi bardzo już stłumiony jazgot pulsującego życiem miasta, stoi kościółek św. Trójcy. I tuż za nim ciągnie się mur. Mur męczeństwa i chwały, spowity w majestat osobliwej śmierci, czczonej godnie przez pozostających przy życiu. Tutaj się nie zdarza, by idący nawet śpiesznie przechodzień nie uchylił kapelusza, nie opuścił nisko głowy, nie westchnął głęboko, boleśnie, nie sięgnął wspomnieniem do dziwnie ciepłego poranka lutowego, gdy przywieziono trzydziestu sześciu skazańców na stracenie pod mur za kościołem.

Tego ranka o godzinie dziewiątej i pół opustoszały ulice Ludna i Solec na odcinku zbliżonym do Wisły. Chmara żandarmów, przybitych czterema wielkimi samochodami ciężarowymi, unieruchamia tramwaje, blokuje sklepy, bramy. Wyzbywa się zbytecznych świadków widowiska, które za chwilę się rozpocznie. Świadkowie naoczni, bliscy mogliby zmącić jego przebieg, mogliby w pewnej chwili przestać być jeno biernymi świadkami. Dlatego raz po raz pogróżką błyska lufa karabinu, wymierzona do okien, dość daleko zresztą położonych mieszkalnych domów, skąd wizerają czyjeś przerażone oczy, gdzie miga jakaś zzieleniała twarz. Dla mieszkańców Warszawy, by ich przerazić, przeznaczone są tylko — dzisiaj głuche odgłosy strzałów — i nazajutrz czerwone plakaty obwieszczeń o świeżej egzekucji.

W ślad za czterema autami żandarmów wtacza się wielka nieosłonięta buda ciężarowa z dwoma szeregiem ławek, na których siedzą skazańcy. Ciepły jest ten zimowy poranek lutowy. Nie dla tej jednak przyczyny więźniowie ubrani są tylko w koszule i spodnie. Marynarki, płaszcze, w których zostali pochwyteni przed kilkoma dniami czy tygodniami, przeszły na własność katów. Białe opaski o niewiadomym przeznaczeniu, okalające czoła więźniów, związane w tyle głowy, powiewają długimi wolno puszczoneymi końcami. Z pod tych dziwacznych zawojów płyną ostatnie spojrzenia skazańców. Na opustoszałe ulice, na gołe kamienie pod murem przeznaczenia, na pudła samochodów, ustawionych w kształt twierdzy, z której padną za chwilę śmiertelne pociski i na figurę Pana Jezusa z obnażonym bolejącym sercem, stojącą na drugiej stronie jezdni, nawprost miejsca stracenia.

Żandarmi pośpiesznie opuszczają swe auta i każą więźniom szybko wyskakiwać z ich wozu. Niemcy hołdują pośpiechowi wszędzie. Stosują go przy zadawaniu tortur, w kaźni obozów, więzień. Nie poniekają go i teraz. Nakazują pierwszym dziewięciu ludziom bieć w stronę muru. Ze stłoczonej gromady ludzi, mającej bieć na spotkanie śmierci, wyrывa się jęk, unosi szept, wydiera głuchy pomruk. Wydaje się, że to szumi rój wielkich owadów o wąskich, chwiejących się na wietrze białych skrzydełkach. Szum wzmacnia się i nagle wyraźnie na podkładzie tego szemrzącego wtóru wznosi się okrzyk jakby z przepastnej otchłani :

„O Polsko !“

I leci po przez Solec na lewo, gdzie tonie w falach Wisły — i ponad Warszawę, gdzie już ginie, nie dosięgając codziennego tumultu miasta. W okrzyku tym grają wspomnienia, przedzierają się błagania i brzmi najstraszliwsze pożegnanie.

Jest on zarazem też i hasłem rozpoczęcia biegu pod mur. Nikt zresztą w tym wyścigu nie dobiega celu ; wszystkich dziewięciu doganiają kule wcześniej, o parę kroków, czy o krok jeden przed czerwoną ścianą. Padają przed nią. A na ścianie ukazują się pierwsze wyłobienia — wyżej i niżej. Na wysokości głowy, płuć, serca, brzucha,

kolan. Rozsypują się na niewielkiej szerokości muru, obsiadają go na przestrzeni, potrzebnej dziewięciu stojącym w szeregu ludziom.

Bieg drugiej grupy przyrównać należy do biegu z przeszkodami. Leżące już na kamieniach ciała zawadzają poruszającym się jeszcze sprawnie nogom. Jedno, dwa potknięcia wstrzymują na ułamek sekundy pędzących skazańców. Unieruchamia ich druga seria strzałów, kładąc jednych przy drugich — i jednych na drugich.

Jeszcze dwie kanonady wstrząsną domami Powiśla i zmartwiałyymi w ich ścianach mieszkańcami. Jeszcze dwie serie kul przygwożdżą biegnących dwiema partiami pod mur osiemnastu mężczyzn.

Ale stos leżących ciał nie jest jeszcze doskonale bezwładny. Poruszają się w nim jakieś ręce z zaciśniętą pięścią, rozprężają i kurczą czyjeś nogi ; cisze przetykają kolce ostrych jęków i świszczących oddechów. Wtedy daje się słyszeć odgłos pojedynczych, odmiennych nieco niż poprzednio, strzałów, wybiegających z krótkiej lufy rewolweru. I na gołych kamieniach pod murem nikt się już teraz nie porusza, nikt nie wydaje żadnych dźwięków.

Wówczas przystępują do roboty szare postacie w więziennych kombinezonach. Przywieziona uprzednio grupa więźniów sprząta ciała ciepłe jeszcze, miękkie kolegów, włączając je do osłoniętej teraz ciężarowej budy. Krew sączy się po przez cienkie warstwy koszul, barwi motylkowe białe opaski, rudymi plamami występuje na ciemnych spodniach. Starczyło jej i na kamienie uliczne i na podziurawioną kulami płytę muru — chociaż, jak wiadomo, byłoby tej krwi więcej, gdyby nie łapczywość wroga, który utoczył jej dowoli przed kaźnią. Błyszczą purpurą kocie łby Solca, pociemniała jeszcze bardziej pod krwawą posoką ceglasta ściana.

I własną purpurą płonie obnażone serce Chrystusa, patrzącego na mękę ludzką z drugiej strony ulicy.

Wóz z pomordowanymi trzydziestoma sześcioma ciałami odjeżdża przez miasto do innej wymarłej jego części — dawnego ghetta, gdzie ze spalonych zwłok rozwiewia się po świetle dymy żałobne...

Tymczasem z pobliskiego klubu wioślarskiego SS'owców zjawiają się posługacze. Zlewają wodą z kubłów kamienie i mur, zeszkrobują z nich płyty mózgu i narosłe kępy stęzałej już krwi. Wszystko skończone. Odjeżdżają żandarmi, pozostawiając na miejscu kaźni wartę. Ruszają tramwaje. Zaczynają przesuwac się ludzie. Stają na zakręcie Ludnej, zwróconym do ustronnego i pustynnego wylotu Solca na Wisłę i z ostrożna, bo wartujący żandarmi groźnie lustrują przechodniów, posuwają się w stronę świeżo zmytych kamieni. Łzy spływają po twarzach nie tylko kobiet. Nie wstydzą się łez i męskie zawzięte i twarde oblicza. Jeden z mężczyzn w chwili, gdy mijał mur w miejscu najbardziej pocentkowanym ciemnymi konstelacjami dziur, zdjął kapelusz. Wrzasnął na niego żandarm wściekłym głosem : „Przed kim to się kłaniasz ?“ „Przed Panem Jezusem“ — odrzekł spokojnie zatrzymany, wskazując figurę Chrystusa.

W ciągu kilku dni nie ustają gromadne pielgrzymki na Solec, odbywają się one pod okiem żandarmów, którzy, choć bardzo czujni, upilnować nie mogą „porządku“ ; na miejscu kaźni zakwitają coraz to inne kwiaty. Każą je sprzątać przechodniom. Trzeciego dnia — obok kwiatów wyrasta wielki drewniany krzyż, oparty o mur nowej Golgoty. Żandarmi usuwają — też rękami przechodniów — znak męki. Wściekają się i wrzeszczą :

„Przechodźcie spokojnie, jeżeli chcecie żyć!”

A czwartego dnia na krwawej ścianie zjawia się namalowany gęstą olejną farbą biały krzyż.

Wściekłość jeszcze potężniejsza zalewa wartujących żandarmów. Nie wiedzą, jak zmusić Polaków, by zaprzestali składać hołd męce współbraci. Wówczas jeden z chłystków w mundurze odważa się zbezczeszczyć ohydnie święty mur — czyni nieprzystojny ruch i kala biały krzyż strumieniem moczu.

.....

Upłynęło już kilka miesięcy od owych chwil — wielkie litery „ś.p.” obramiają po dawnemu biały, nie dający się zniweczyć znak męki, a świeże zawsze kwiaty tulą się do czerwonego muru.

I stoją wciąż na Solcu na przeciw siebie dwa symbole nadludzkiej męki — tej sprzed dwóch bezmała tysięcy lat — krwawe serce Zbawiciela — i tej dzisiejszej — mur spryskany krwią ofiar niemieckiej egzekucji.

★ ★ ★

W niewielu oczach odbija się obraz egzekucji, które — acz nazwane ku postrachowi Polaków „publicznymi”, osłonięte są raczej tajemnicą. Tajemnicą potwornego ceremoniału. Ale przecież i tajemnicie mają swe sekretne ścieżki, po których trafiają do świadomości ludzkiej.

Gdy na Towarową zajechali żandarmi i obstawili ulice, przechodnie sądzili z początku, że zaczyna się zwykła łapanka. W otwartym aucie ciężarowym siedziała szaro-zielona czereda uzbrojonych jak zwykle żandarmów. Dopiero gdy ci podnieśli się z ławek, ujawnił się bagaż, jaki wieźli pod nimi, między rozkraczonymi nogami: dwudziestu kilku więźniów, leżących niby drewniane kłody, na dnie wozu. Ręce złożone dłońmi do siebie skruwało żelazo, ale i reszta ciała była skuta — choć niewidzialnie — bezwładem. Żandarmi wyciągali z wozu nieposłuszne niczyjej woli, a przecież żywe ciała i poprowadzili jak manekiny pod mur. Poczem oprawcy cofnęli się o kilka przepisowych kroków i dali salwę. Bezwolne automaty pod murem zabroczyły krwią — tak samo jak i te ofiary mordu, które miały siłę biec na miejsce kaźni. Ale skazańcy, wywleczeni z wozu niby bezduszne toboły, nie wydali przed śmiercią żadnego okrzyku.

Dobrze ukrytą ścieżką tajemnic przedostała się wieść, że straceni na Towarowej, na Wierzbowej i wielu innych warszawskich ulicach męki uciszeni zostali przedtem jakimś silnym zastrzykiem, mglącym myśli, otumaniającym wolę, doprowadzającym najwrażliwsze nawet dusze do tępej obojętności.

O — nie dla zmniejszenia cierpień wybranym przygodnie ofiarom uciekł się wróg do tego pseudo-humanitarnego zabiegu. Wróg boi się ludzi, umierających z okrzykiem „Niech żyje Polska” na ustach, boi się echa tego zawołania, odbijającego się od murów miasta, które postanowiło — mimo wszystko — żyć!

* * *

Niemcy zbierają rupiecie, stare żelastwo, grzebią w odpadkach, by preparować z nich nowe użytkowe przedmioty, potrzebne im do własnego życia i do odbierania życia innym.

Ubrania więźniów, idących na stracenie, to dość okazała pozycja w zachłannej gospodarce okupanta. I dlatego, zapewne, ostatnio wozy ze straceńcami wyglądają jak gdyby wiozły makabryczne postacie karnawałowe. Papierowe jednostajne ubrania, przykrojone na model worków, szeleszczą przy każdym poruszeniu tragicznych sylwetek. Tak bezwartościowej materii można już nie szczędzić. Można ją dziurawić bodaj setkami kul.

* * *

Z dodanych łącznie dziesiątków i setek skazańców, którzy straceni zostali jawnie na ulicach miasta, powstały już wielkie tysiące. Ujęte są one w dokładne urzędowe rejestry, którymi oblepione są ulice żywej części Warszawy. Ale w innej jej połaci, na północnym skraju stolicy, tam gdzie życie zamarło od roku, na rumowiskach ghetta giną wciąż pod kulami niemieckimi wielokrotnie liczniejsze ofiary. Nie ma po nich śladu ani na czerwonych arkuszach, ani na ceglanych murach.

Cichcem, „nieoficjalnie“, co kilka lub kilkanaście dni wyludnia się częściowo Pawiak, by dać miejsce nowym mieszkańcom — złapanym na ulicy lub wyciągniętym z mieszkań mężczyznom i kobietom.

Szybko przemyka samochód z więźniami ulicami miasta i niknie za osłoną murów, otaczających dawne ghetto. Nad ghettem — pobożewiskiem, gdzie zginęli w bitwie okrutnej w kwietniu 1943 r. ostatni jego mieszkańcy — Żydzi, unosi się mgławica pyłu. Prócz tego raz po raz wzbijają się jeszcze w górę gęściejsze jego kłęby po hukach mocnych wybuchów, których kilkanaście co dnia rozlega się, niby dudnienie armat. To Niemcy rozsadzają dynamitem resztki rumowisk, jakie pozostały z domów północnej dzielnicy po bombach, pociskach i pożarach kwietniowych. Potrzebny im jest bowiem materiał budowlany do restaurowania niemieckich miast.

Pomiędzy te potężne huki, które słyszy cała Warszawa, wkradają się od czasu do czasu trele trzasków karabinowych, nie przenikające oczywiście tak daleko. Ginę one pośród zwalisk, na których układają oprawcy ciała więźniów pomordowanych nieoficjalnie, skrycie, bez liczby i imienia.

Nie brak wśród nich i kobiet, które nie figurują nigdy w podawanych do wiadomości publicznej spisach oficjalnych rozstrzelanych skazańców. Krew kobiet, wsiąkająca w kamienny chaos zamarłego dzielnicy, wypisuje prawdzie inne świadectwo.

Na okolonym gruzami placu, który był niegdyś podwórzem, na samej ziemi kładzie się podściółkę z kawałków drewna, odłupanych szczap, desek, liżniętych zgasłym oddawna płomieniem pożaru. Na tę podstawę, sporządzoną z wygrzebanych wśród gruzów niedopalo-

ných części ram okiennych, drzwi, stopni schodów, wnoszą kaci w mundurach część pomordowanych ciał. Leżą one grubą warstwą na suchym podścielisku, a na niej dalej układane są ocalałe w dawnej pożodze kawałki drewna. Stanowią one przegrodę czy połączenie dla drugiej warstwy przeszytych dopiero co kulami ofiar. I znów luźna drewniana pokrywa zasłania martwe ciała — i znów ona z kolei ugina się pod ciężarem nowej warstwy znieruchomiałych na wieki ludzi. Makabryczny przekładaniec — wysoki stos rośnie, pnie się coraz wyżej do góry.

A potem rozpoczyna wędrówkę podłożony pod stosem ogień, od dołu z trzaskiem — po pierwszej warstwie suchego drzewa — i z sykiem — po pierwszej warstwie ludzkich wilgnych mięśni — i dalej — w górę, w górę, ponad zwalone mury na sam szczyt piramidy.

Stały pył nad rumowiskiem zasilają smugi dymu, który unosi się z olbrzymiego stosu — mogiły ponad mury martwego ghetta i rozwiewa nad żywą i czującą męczeńską stolicą.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

17168/1



11-017168-000-0